Protestancka nauka biblijna
we walce przeciwko Staremu Testamentowi.

(Ciąg dalszy.)

W obec zarzutów, że nowoczesna protestancka nauka biblijna ma destruktywny charakter, bronili się przedstawiciele tej nauki w ten sposób: Cóż może nauka za to, że jej rezultatów nadużywają nierozumni albo złośliwi? Alboż to można potępiać chemią za to, że zbrodniarze posługują się dynamitem i nitrogliceryną, przez nią wynalezioną, do swych celów? Nauka ma zadanie zbadania po prostu prawdy przy pomocy środków, jakie stoją do jej dyspozycyi; może ona wszystko dla prawdy, a nic przeciw niej; może wprawdzie błądzić i na naszem polu wielokrotnie błądziła, aleć w końcu poprawia ona sama te błędy, praca duchowa wieków prowadzi nas i doprowadziła nas już bliżej do prawdy, i nie ci służą prawdziwym interesom religii, wiary, Kościoła, którzy zamykają oczy i uszy na rezultaty nauki, i odrzucają je, skoro tradycyjnym opiniom sprzeciwiać się zdają, lecz ci, którzy nauce i prawdzie ufają.

Pięknie to powiedziane, tylko że tu pomieszano rzeczy prawdziwe z fałszywemi. Właśnie to jest zarzut, który przeciw *tej* nauce podnieść musimy, że nie tylko na zasadniczo fałszywym gruncie stoi, lecz że jej postępowanie i manipulacye są fałszywe, nieprawdziwe i nienaukowe, i dla tego jej rezultaty nie są prawdą, lecz błędem i złudzeniem. Wykaże się to, gdy *przypuszczenia*, *metodę*, *dowody* i *rezultaty nowszej krytyki* biblijnej choć tylko w ogólności poddamy krytyce.

Zaraz z początku, powołując się na Egipt, sprostowaliśmy jedno *przypuszczenie*, które wyziera z całej historyi piśmiennictwa Kautzscha. Dodajemy jeszcze do tego, co jeden z najznakomitszych znawców oryentalnej historyi, F. *Hommel*, na podstawie nabytych przez assyryologią i egiptologią wiadomości o dawniejszym jeszcze peryodzie, o czasie Abrahama, sądzi. „Już wtedy tak babilońska, jak

*

odczepiona od niej w najdawniejszych czasach egipska kultura przeszły swój punkt kulminacyjny; każda z nich odbyła już drogę kilka tysięcy lat długą... Jeżeli Hebrejczycy tymczasem teraz dopiero na widownią historyi występują i tylko na to, aby znowu wnet na kilka set lat usunąć się z naszego widoku, to jednak ta mała Palestyna, która miała zostać ich ojczyzną, przez swoje położenie, jedyne w swym rodzaju, pomiędzy dwoma wielkiemi centrami kultury, już od może tysiąca lat najróżniejszym wpływom tak Babilonii jak Egiptu była dostępna. Jej kanaanicka ludność pokazuje też już wonczas podobną mieszaninę osiadłych i tułających się żywiołów, jak się nam na początku hebrejskiej historyi pokazują. Należący do nich beduini nie byli jednak w żadnym razie tak niewykształconym narodem natury, jak go nam wielu nowszych badaczów historyi Hebreów krótko jeszcze przed czasem Dawida chcieliby opisywać. Jakżeż miał kraj, który już przez wieki stał pod babilońskiem zwierzchnictwem, aby następnie w podobny sposób w czasie nowego (tak zw.) królestwa (18 i 19 dynastya) długie wieki przez Egipt być opanowany, miał pozostać nietknięty przez babilońską i egipską oświatę? I że od tego nie były wyjęte szczepy semickie jeszcze nomadyzujące, pomiędzy Babilonią i Assyryą mieszkające, dowodzą już niektóre opisy, jakie nam o nich Egipcyanie w słowie i obrazie pozostawili.“ [1])

Tyle Hommel, który na dowód prawdziwości tego pojęcia przytacza, że wynalezienie zachodnio-semickiego tak zw. fenickiego alfabetu przypada na czas około 2000 lat przed Chr. W ten sposób stoimy przynajmniej na stałym kulturno-historycznym gruncie i nie zdaje się być wcale za śmiałe przypuszczenie, że już przed Mojżeszem tradycya w piśmiennych zapiskach ustalać się mogła, jak to np. E. König stanowczo twierdzi. Jeśli zaś dalej z papyrus Anastasi III [2]) i ważnego odkrycia w *Tel-el-Amarna*, które całe archiwum dyplomatycznych korespondencyi z 14 i 15 wieku przed Chr. na jaw wydobyło, dowiadujemy się, że regularna dyplomatyczna korespondencya odbywała się pomiędzy Egiptem, królami i namiestnikami w Kanaan i Babilonie; jeżeli powtarzając uwagi nasze wypowiedziane na czele, bogactwo egipskiej literatury przed Mojżeszem rozważymy i przekonamy się, że

[1]) F. Hommel, *Geschichte des alten Morgenlandes*. Stuttgart 1895. S. 63 f.

[2]) Cfr. Cornill Einl. S. 14: „Papyrus Anastasi daje nam w rękę dokument dowodzący, że za czasu Faraona Menephta żywa i regularna odbywała się korespondencya piśmienna pomiędzy Egiptem, Palestyną i Fenicyą — a podług najprawdopodobniejszego przypuszczenia jest Menephta Faraonem współczesnym Mojżeszowi wtedy, gdy żydzi z Egiptu wyszli.

we wszelkiej mądrości i nauce Egipcyanin był biegły — to cóż może się jeszcze sprzeciwiać przypuszczeniu, że Mojżesz podczas czterdziestoletniego pochodu przez puszczą historyą i prawodawstwo aż do swego czasu spisał? Nic, chyba tylko owa religijno-historyczna szablona, podług której monoteizm i kult w czasie Mojżesza nie mógł być tak wysoce wykształcony, jak nam się okazuje w Pentateuchu. Tak samo ma się rzecz z czasami Samuela, Dawida i Salomona, gdzie krytyka wynajduje same początki, a nawet przypuszcza rozwój literatury, a jednak wspomnionym mężom odmawia wszelkiej literackiej sławy.

A zaś na odwrót, jak się ma rzecz z przypuszczeniem, że dopiero w czasie niewoli i po niewoli Pentateuch i przeważna część hebrajskiej literatury mogła powstać? Owoż w tem przypuszczeniu wisi nie tylko prorocka literatura niejako w powietrzu i nie tylko powyżej przytoczone fikcye przyjęte być muszą, lecz brak wprost rozumnego objaśnienia na to, jak taki późny czas te wszystkie po części drobne szczegóły z historyi i prawodawstwa, a te ostatnie w tak mało systematycznym porządku i w ustawicznem zastosowaniu do wędrówki na puszczy i stosunków w mającem być jeszcze zdobytem Kanaan, mógł na jaw wydobyć. Krytyka nie waha się przypuszczać, że i takie ustępy, które z zadziwiającą wiernością wypadki i stosunki dawnych czasów opisują, jak np. w Genesis rozdz. 14 i opowiadanie o Józefie w Egipcie (rozdz. 37—50) nie pochodzą z dawnych lecz późniejszych czasów — lecz takie przypuszczenia zadają daleko większą zagadkę do rozwiązania aniżeli piśmiennicze prace Mojżesza, Samuela, Dawida i Salomona, zagadkę tym zawilszą, jeśli się rozkwit wysoko rozwiniętej literatury, jaką bez zaprzeczenia jest starotestamentowa, umieszcza w czasie mizernego, obumierającego życia ludu i nam narzuca tę sprzeczność, żeby wierzyć z Wellhausenem, iż szkoła po niewoli tylko czcze, rachunkowe szemata dokonała, i z tej samej szkoły, z tego samego ducha egoistycznego, jednostronnego faryzeizmu także owe wspaniałe twory poetyckiego natchnienia i siły, jak Psalmy, Job i inne wyszły! Credat Judaeus Apella!

Przechodzimy teraz do metody tej krytycznej nauki, która według Reussa jest „metodą dokładnej obserwacyi i sumiennego badania.“ W tej metodzie spoczywa cała siła i słabość krytycznej nauki biblijnej. Reuss sam informuje swoją „większą publiczność“ o zadaniu krytyki, o przebiegu badania, o metodzie dowodzenia. „Od ostatniego ćwierćrocza zeszłego wieku, powiada on, podniosła się nowa potęga, która więcej zdziałała na polu teologicznych nauk, aniżeli czysta teorya. Była to historyczna krytyka „owoc własnej działalności du-

chowej, jakiegoś instynktu, którego brakło dawniejszym pokoleniom, a mianowicie starożytności, a dziś jeszcze z trudnością w obec siły przesądów utrzymać się zdoła.“ Była to innemi słowy krytyczna metoda, którą zastosował F. A. Wolff w swych sławnych prolegomenach do Homera (195) i która wprost i pośrednio wszelki wywarła wpływ na metodykę pokrewnych nauk.

Reuss stawia tę historyczną krytykę na jednym stopniu z metodą „ścisłego badania“ wypróbowaną na naturze. Wciągając „piśmienne dokumenta religijne“, które przecie „w każdym razie były produktem swego czasu i pewnych stosunków“, w zakres badań, poczęto „absolutną prawdę i historycznie zmieniającą się formę jej pojawienia“ od siebie oddzielać i biblią — oddawna wyłączną księgę wiary — brać za przedmiot historycznych badań w dwóch kierunkach. Raz pod względem literacko-historycznym (historya kanonu i pojedyńczych ksiąg), przyczem rewizya wyrzeczeń starożytności „wykazała, że owe zewnętrzne świadectwa zbyt niezupełne i za młode były, a także zbyt zależne od powziętych naprzód opinii, aby mogły same tworzyć podstawę historyi biblijnej.“ Skutkiem tego „zyskały wewnętrzne powody na wartości, tj. fakta, które texta same opisywały, i tak stało się głównem zadaniem nauki, aby te wewnętrzne powody przemawiały same za sobą wedle miary ich siły a unikało się przytem starannie wszelkiego wmieszania czysto subjektywnego sądu“, co jednak nie przeszkadzało, „że krytyka po częstych złudzeniach i zbyt pospiesznych sądach tylko po manowcach i drogach ubocznych“ do pewnych rezultatów dochodziła i „często widziała się zniewoloną zbyt prędko sformułowane opinie cofać.“ Ponieważ zaś „kwestye literackie tylko dla tego pewien interes dla nas mają, że w gruncie z religijnemi ideami połączone, które tak dla jednostek jak i dla Kościoła istotnego są znaczenia“, dla tego „historyczny kierunek studyów w nowszych czasach wyższy sobie jeszcze wytknął cel“: „bez zakwestyonowania opinii o zetknięciu się ich ducha (proroków i apostołów) z boską siłą, bez której prawda nie może być pojęta, a tym mniej wielki czyn spełniony — tutaj więc przedstawia się „nowoczesne“ pojęcie o objawieniu — starano się ludzkie warunki ich myślenia i pisarskiego działania zbadać i żywo je sobie uprzytomnić, jako też stosunki czasu i społeczeństwa, które jej formy i kierunki określać mogły.“

„To wszystko zaś było niezbędną pracą przedwstępną do ostatniego zadania: wypośrodkowania koła idei, w którem się hebrejscy prorocy, poeci i mędrcy poruszali i zoryentowania się w duchowym horyzoncie, wewnątrz którego opowiadacze wyrzeczeń Jezusowych i jego

pierwszych apostołów żyli.“ Podczas gdy dotychczasowa teologia „tam nawet, gdzie się nazywała biblijną, zadowalnia się zaznaczaniem religijnych i moralnych pojęć, zdań naukowych i przepisów, jakie texty podawały w obfitości, przedstawianiem ich z góry jako gotowy system, którego elementa bez różnicy ze wszystkich części Pisma św. zbierane być mogły, to dzisiejsza (krytyczna) teologia wychodzi więcej na to, aby ten materyał we formie jakiejś teoryi lub jakiego ciała naukowego chwytać i obrabiać, lecz jako rozwijające się, postępowe życie myśli i sumienia, przyczem psychologiczny element tego procesu rozwojowego wychodzi na jaw w konkretnych osobistościach duchowych, a udzielona przez nich ludzkości summa idei nie jako zbiór wyroczni, lecz jako następstwo scen wspaniałego duchowego dramatu przed nami występuje.“ „Ten sposób rozumienia biblii i jej metody naukowej — dodaje w końcu Reuss — jest dawniejszej dyametralnie przeciwny i nowsza teologia wyznaje otwarcie, że właśnie skutkiem jej historycznego sposobu obserwacyi, dawniej z takim naciskiem podnoszoną zasadę homogenitatis wszystkich pojedyńczych części Pisma św. i jej absolutnie równej wartości porzucono i wyrzeczono się upoważnienia do objaśnienia wszystkiego ze wszystkiego, jak np. szukania klucza do zrozumienia Starego Test. w Nowym, podczas gdy właśnie przeciwne postępowanie bardzo często było prawdziwe. Lecz nauka sądzi, że przez to nie utraciła nic istotnego ani potrzebnego — podług Stade'go stawia ona w miejsce tego, co zburzyła, zawsze coś lepszego, czego próbki poznamy w historyi Izraela — a im więcej dochodziła do poznania, że ma tutaj do czynienia z faktami, któremi dowolnie rozporządzać nie mogła, a nie ze słowami i pojęciami, które były wolną własnością każdego, co z mniejszą lub większą bystrością igrać z tem umiał, tem mocniejszy był grunt pod jej nogami, tym rzeźwiejszą ochota do pracy, tym pewniejsze zdobycze, tym więcej zachęcające widoki co do wzajemnego porozumienia się pomiędzy tymi wszystkimi, którym rzeczywiście o prawdę chodziło.“

Zrozumie każdy, dla czegośmy pewnego zwycięztwa arcymistrza nauki do słowa w tak obszernych rozmiarach dopuścili. Do objaśnienia nie potrzebujemy nic dodać i możemy przejść zaraz do ocenienia tej metody. Najprzód potwierdza on nam, że nauka uznaje w Star. Test. tylko czysto ludzki rozwój i za swoje jedyne zadanie uważa zajmowanie się ludzką stroną biblii, chociaż przyznaje kierownictwo pewne Opatrzności, która przecie tylko „naturę ludzką wspierać chciała, nie zadając jej gwałtu, w czem starsza teologia widziała nawet zazdrości godny przywilej“ — zdanie, które z katolicką nauką o objawieniu i inspiracyi

wcale się nie zgadza. O tem „następstwie scen duchowego dramatu“, przedstawiającego ten rozwój, zbliżone pojęcie pozyskaliśmy, gdy nas Kautzscha zarys historyi piśmiennictwa z fikcyami, opracowaniami, retuszowaniami zaznajomił, przy pomocy których starotestamentowe księgi powstały i religijne idee się rozwinęły. Także bodaj dziwić się będziemy, że według nowszej krytycznej teologii wszystko się rozpływa w „historycznym rozwoju“; dla niej nie istnieje w ogóle żadna objektywna, stała prawda, tylko historycznie poświadczony rozwój idei, błędy, przeróbki i przeinaczenia, tak w Starym jak Now. Testamencie. Więcej wagi trzeba tutaj położyć na to, że w tem sławieniu krytycznej metody leży p r z e c e n i e n i e h i s t o r y c z n e j k r y t y k i, która jest fałszywą i zgubną. Nie chodzi tu wcale o to, aby prawdziwe postępy i rezultaty rozumnej krytyki i wszystkich onych studyów przedwstępnych i nauk pomocniczych do objaśnienia biblii zaprzeczyć lub lekceważyć, które, jak Reuss sam poświadcza, już dawniej były pielęgnowane, lecz od stu lat „z nową gorliwością i pewnym taktem“ na nowo podjęte, służyły nadzwyczaj do poparcia naukowego objaśnienia Pisma św. Można raczej w myśl encykliki *Providentissimus* zgodzić się zupełnie na to, co mówi Reuss: „Znajomość języka hebrejskiego i nowogreckiego kwitnie obecnie jak nigdy dawniej i rozprasza coraz bardziej pozostałe jeszcze ciemności. Staranne porównanie niezliczonych rękopisów i starszych tłomaczeń, w ogóle pilne zużycie wszystkich środków w celu ustalenia czystszego textu przynosiło często nadspodziewane wyjaśnienia sensu. Dokładniejsze zbadanie kraju, który był widownią owego życia narodowego, z którego łona Pismo św. wyszło, uczyniło nam je o wiele zrozumialszem... Obraz rozwijającej się powoli kultury Izraela, najprzód w starożytnej azyatyckiej odrębności, później w rozwoju, dokonującym się pod wpływem grecko-rzymskiej oświaty, występuje jawniej przed oczy, odkąd nauczyliśmy się składać je w całość z tysiącznych drobnych rysów, rozproszonych w biblijnych źródłach.“ Wszystkie te rzeczy ceni należycie wierzące w objawienie objaśnienie Pisma św.; dla „historycznej“ lub „wyższej“ krytyki mają one jednak drugorzędne znaczenie.

Fałszywej i zgubnej przesady staje się ta krytyka najprzód przez to winną, że metodę swą stawia na równi ze ścisłem badaniem natury i przypisuje sobie wypośrodkowanie „faktów“, którémi, gdyby udowodnione były, nie wolno dowolnie „rozporządzać.“ Ścisłe badanie ma bezpośrednio ze samemi przedmiotami do czynienia; dla niej rozstrzyga dokładna obserwacya, experyment. Historyczna krytyka ma za przedmiot najprzód tradycyą względem jakiegoś faktu lub dokumentu; od

tradycyi resp. autentyczności dokumentu dochodzi do faktu samego dopiero przez wniosek, zbudowany do rozważania, czy tradycya zasługuje na wiarę, czy świadkowie mogli i chcieli powiedzieć prawdę. I tutaj to spoczywa wielkie złudzenie nowszej nauki. Osobliwsza to rzecz: podczas gdy wielka część metodyków i dziejopisarzy — wprawdzie niesłusznie — przeczy możliwości dojścia od ustanowionej dokumentami tradycyi do objektywnej pewności, sądzi nasza krytyka historyczna, że już skonstatowała „fakta", gdy dokonała czysto formalistycznej „analizy źródeł!" W tej analizie źródeł sądzi, że znalazła różczkę czarodziejską, która wszystkie tajemnice historyi hebrejskiej literatury i historyi literatury objawi — prawdziwa rozkosz dla krytyka, gdy wejrzy na czternaście wielkich tabeli, na których Holtzinger[1]) „rezultaty rozdziału źródeł Hexateuchu" przejrzyście zestawił, albo gdy rzuci okiem w historyą hebrejskiego piśmiennictwa, z którego, skutkiem tego rozdziału źródeł, nie pozostało nic jak disjecta membra poetae. A jednak ten rozdział źródeł — przypuściwszy, że jest uprawniony — nie ma żadnej wartości tak długo, dopóki nie ma pewnego sądu o wiarogodności autora źródła resp. tradycyi, z której czerpał. Słuszną dla tego czyni np. Strack uwagę, że nie to, jak stare są dzieła D, E, J itd., ani też w jakiej kolei czasu po sobie następują i od siebie są zależne, jest główną kwestyą, lecz czy tak zw. pismo kapłańskie wiarogodne wiadomości co do czasu i działania Mojżesza, albo jak hyperkrytyka twierdzi, tylko zeszpecenie „zuchwałą fikcyą" i sprzeczności przeciw jedynie starej tradycyi w innych „źródłach" zawiera.[2])

„Historya nie jest na to, by kształciła formalistyczną bystrość adeptów nauki i świecić jej kazała, lecz na to, aby tradycye oświeconego świata z wdzięcznością utrzymać i zachować... Czego prawdziwy historyk szuka, to zaufania do zapewnionej powagi... Nie formalna kwestya czasu, kiedy jakaś wiadomość zapisana została, lecz pożądanie niepokonane znajomości osoby autora jest, czego pożąda rozumna krytyka. I dla tego w wielu razach zupełnie zadowoloną być może, gdy znajdzie jaki stały punkt, na którym powaga jest oparta... To jest też jedyny naukowy powód, który dokumentowi tak wielką powagę daje nad każdym rodzajem tradycyi, gdyż tu powaga, która tradycyą przekazuje, — rozumie się, przypuściwszy zawsze badanie co do zewnętrznej autentyczności przedłożonego przedmiotu — do większego zaufania rości pretensye i je też pozy-

---

[1]) *Einleitung in den Hexateuch.* Freiburg 1893. — [2]) *Kurzgefasster Commentar zum A. und N. T.; die Bücher Genesis* etc. I XVII München 1894.

skuje... Wszelka historyczna krytyka nie jest niczem innem, jak rzeczą zaufania, jakie ten, co przyjmuje tradycyą historyi, do tego, co mu ją daje, powziąść zdolny..."*) Według tych słów nowszego historyka jest „przesąd", przeciw któremu historyczna krytyka ma trudności się utrzymać, widocznie po stronie zdrowego rozumu ludzkiego, któremu jasnem, że rządzenie wyższej mocy, objawiające się w historyi Izraela, poręczyć musi zachowanie i napisanie wiarogodnej tradycyi i że powaga, której historyk szuka, daleko pewniej dana jest w wielkich mężach Izraela (Mojżeszu, Jozuem, Samuelu, Dawidzie, Salomonie, Prorokach), aniżeli w licznych nieznanych autorach i redaktorach, których krytyka wysuwa. Natomiast wartość dokonanego z takim aparatem uczoności i bystrości rozdziału źródeł do bardzo małych rozmiarów się kurczy, gdyż krytyce brak zasadniczo zaufania do powagi, o którą tutaj chodzi; skutkiem swych religijno-filozoficznych przypuszczeń uważa ona właśnie to za fałszywe, niemożebne, na późniejszem zamalowaniu polegające, co specyficzny charakter i istotną treść starotestamentowej tradycyi stanowi i czyni uznane przez siebie powagi (proroków) winnymi, że objektywnie nieprawdziwe dziejopisarstwo rozpoczęli, tradycyą tendencyjnie przykroili, źródła sfałszowali! Pewien pisarz francuzki mówi o *passion d'irreligion*, jaka nowszą naukę opanowuje. Jest ona rzeczywiście najgłębszym powodem, dla czego krytyka biblijna „czysto ludzkie" tylko w przeciwieństwie do religii chce pojmować a istotnie religijnej tradycyi Izraela zaufania odmawia.

Sąd ten potwierdzi i umocni jeszcze bliższe rozważanie środków, przez które ten rozdział źródeł do skutku przyszedł. Środkiem głównym, jeśli nie wyłącznym, były do tego tak zw. wewnętrzne powody. Że protestancka nauka biblijna do takich wewnętrznych powodów szczególniejsze ma zamiłowanie, dziwić się nie można; jest ono jej wrodzone, gdyż reformatorowie, odrzuciwszy wszelką kościelną tradycyą i wszelki autorytatywny wykład Pisma św., wszystko, wiarę i powagę biblii na tak zw. wewnętrznem doświadczeniu ugruntowali. Ztąd jest to konsekwentnem, jeśli szkoła Wellhausena „z analizy treści" daty powstania i miejsce ksiąg biblijnych chce wydostać i te daty stosuje do tego, co „zkądinąd wiemy o przebiegu historyi Izraela", z treści jedynie „historyczne następstwo warstw tradycyi w poszczegółach wykazać i wypróbować je za pomocą niezawisłej miary, tj. za pomocą wewnętrznego rozwoju izraelskiej historyi, jaki nam jest znany

---

*) Lorenz, *Die Geschichtswissenschaft in Hauptrichtung und Aufgaben.* II 329 ff.

z innych niepodejrzanych świadectw. My przeciw temu mamy tylko do zarzucenia, że nam o zewnętrznym przebiegu izraelskiej historyi z innych źródeł, oprócz biblijnych, nadzwyczaj mało,[1]) a o wewnętrznym jej przebiegu absolutnie nic nie jest znanem; że dalej historya języka, która w każdym razie do rozdziału źródeł jest potrzebna, tkwi według Wellhausena dopiero w początkach i również wskazana jest prawie wyłącznie na stosunkowo ograniczony materyał, który właśnie biblijne źródła dostarczają; do tego dochodzi to, że krytyczny stan obecnego textu nie pozwala na pewne zawsze wnioski co do pierwotnej formy źródeł resp. ostatniej redakcyi i że, jak zauważa Kauien,[2]) najstarsze dokumenta, jak Pentateuch i księga Jozuego, bodaj w swym pierwotnym języku zachowane zostały.

Pozostają dla tego same tylko analogie z historyi ludów sąsiednich Izraelowi, o której z innych świadectw także nic nie wiemy. Takie analogie zaś nic udowodnić nie mogą, gdzie tak wielkie różnice są niezaprzeczone, jak pomiędzy literaturą i historyą Izraela a innych narodów. Ztąd faktycznie tylko wewnętrzne powody, których sile nauka działać każe i za pomocą swej niezawisłej miary, tj. zasadniczego zapatrywania o czysto naturalnym rozwoju podług ewolucyonistycznej zasady, wypróbowuje. Jeśli tedy krytyka ze zmiany nazwiska Boga, z pewnych znamion materyału i sposobu przedstawienia, z rzekomych sprzeczności wnioski wyciąga o różności źródeł, które obecnie w księgach biblijnych połączone zostały w całość, jeśli jednemu źródłu czystsze pojęcie o Bogu, drugiemu predylekcyą do genealogii, liczb i obrachunków, innemu predylekcyą do legendy przypisuje, jeśli każe jednemu powstać w państwie północnem, gdyż szczególniej o szczepie Józefa (Efraima) i świętych miejscach tamże opowiada, drugiemu w Juda, że Jerozolima i świątynia naprzód wysunięte, jeśli z czysto wewnętrznych powodów usiłuje wykazać jakiś literacko-historyczny rozwój, który razem z przyjętym przez nią kulturno-historycznym rozwojem od wieku do wieku postępuje, to jeszcze przez to żadne „fakta“ nie są udowodnione; w najlepszym razie mogłaby być mowa o możliwościach lub prawdopodo-

---

[1]) „Do studyum hebr. starożytności nie posiadamy oprócz ksiąg, przyjętych do żydowskiego kanonu, prawie żadnych równoczesnych dokumentów. Dopiero w nowszym czasie odkryto i odcyfrowano księgi, illustrujące starotestamentowy czas (jak kamień Mesy, napis Siloah, fenickie napisy, dokumenta, pisane klinowatem pismem, babilońskie, assyryjskie i perskie). Chociaż to drogocenne źródła, dotykają one tylko niektórych części historyi biblijnej. Egipskie pomniki bardzo mało podają materyału do historyi bibl.“ Smith-Rothstein, *Das Alte Test.* S. 10. Dodajemy, że te źródła nie zawierają także niczego, coby się sprzeciwiało biblijnym.

[2]) *Einleitung in die hl. Schrift* S. 52, 53.

bieństwach, w ogóle jednak temi wewnętrznemi powodami absolutnie nic innego nie udowodniono, jak to, że dzisiejsi krytycy tak sobie rzeczy układają, albo innemi słowy, kanon Starego Test. wtłaczają w łoże Prokrustowe prawa o czysto naturalnym rozwoju według ewolucyonistycznej zasady i podług tak przyprawionych źródeł konstruują historyą. Takie właściwe „filary“ krytyki, jak powstanie Deuteronomium, argumentum e silentio o nieistnieniu prawa w czasie przed niewolą, przywrócenie stosunku prawa i proroków, w ten sposób się zyskuje: co się krytycznym szablonom sprzeciwia, przekazuje się z wewnętrznych powodów późniejszemu czasowi albo za interpolacyą się ogłasza. Choć żadnych na dowód nie podajemy w tej chwili szczegółów — później okażemy to na historyi — błąd zasadniczy tej metody jest dość wyraźny. Przy wszelkich wysiłkach filologicznej uczoności i krytycznej bystrości, przez co się otacza pozorem naukowości i na umysły zwodniczy urok wywiera, to dowodzenie z wewnętrznych powodów nie jest nic innego, tylko obracanie się krytyków w kole około siebie samych (circulus vitiosus), experyment z archimedesową dźwignią, która z papieru jest zrobiona i nie ma stałego punktu oparcia, albo żeby użyć drastycznego obrazu, którym się posługuje Wellhausen przeciwko swym przeciwnikom: krytyka trzyma się sama za włosy, podnosi się ze ziemi i buja w powietrzu. I rzeczywiście według tej metody można każdej obszerniejszej książce, manuskryptowi odmówić jedności pochodzenia, można wymyślić sobie źródła, sprzeczności, poczynić wnioski o czasie i miejscu różnych autorów. W pewnej małej broszurze anonimowy autor zrobił taki experyment, pozornie z całą powagą, z listem do Rzymian i doprowadził krytyczną metodę ad absurdum: rozróżnił cztery źródła, z których dwa tylko mówią o Bogu a drugie dwa obok Boga przedstawiają także Jezusa jako głowę i źródło zbawienia i gdzie się używa raz imienia Jezus Chrystus, drugi raz Jezus. Pewien Amerykanin pozwolił sobie taki sam experyment zrobić z przypowieścią o Synie marnotrawnym i rozłożył ją z wewnętrznych powodów zupełnie na sposób wyższej krytyki na dwa równoległe sobie źródła, pomiędzy któremi podobieństwa, różnice i sprzeczności się znajdują, choć w brzmieniu słów najmniejszej nie podjęto zmiany.*) Takie satyry to zasłużone nauczki dla nienaukowego, mimo wszelkiego uczonego aparatu, postępowania, którem można wszystko i dla tego nic udowodnić, i którego zastosowania do świeckich płodów literatury, które co do treści z bi-

*) Zahn, *Ernste Blicke in den Wahn der modernen Kritik des A. Test.* S. 143.

biblijnemi źródłami są podobne (np. opis starobabiloński o potopie, który łączy rozmaite rysy, jakie w biblijnem sprawozdaniu mają wedle krytyki do różnych źródeł należyć), jeszcze nie próbowano, we filologicznych i historycznych naukach zaś w głównych rzeczach uznano za przesadę i bałamuctwo.

Musimy oprzeć się pokusie udowodnienia tego „z innych niepodejrzanych świadectw",*) nie możemy jednak odmówić sobie tej przyjemności, aby nie wskazać po krótce, w jaki sposób słabość tej metody bywa pokrywana. Jest to frazes, który zawsze w czas się znajdzie, gdy dowodów brak, mianowicie u Wellhausena świetny, nie rzadko nadspodziewanie zuchwały i lekkomyślny frazes i zwrot — których także Kautzsch używa często w swym „Abriss", jak: „być może", „prawdopodobnie", „widocznie", „pewnie nie", „bodaj" itd., które przemieniają się w te tropy „z pewnością", „bezwątpienia" albo „niepodobna", „z pewnością nie", co tedy od pojętnych uczniów wedle okoliczności się opuszcza albo jeszcze w mocniejsze wyrazy przemienia. W taki sposób przychodzą do skutku owe niewzruszone rezultaty nauki, które przynoszą ze sobą z domu piętno subjektywizmu, dowolności, chwiejności, niech ich autorzy jak najstanowczej twierdzą, że są niewzruszone a sprzeciwieństwo każde przesądem albo nieznajomością faktów piętnują. Okrutna ironia losu, lecz zarazem trafne potępienie całej krytycznej nauki biblijnej leży w tem, co wspomniony enfant terrible M. Vernes mówi o hipotezach swych poprzedników: Les savantes reconstructions de la critique moderne sont l'effet d'une grande illusion, a ostre potępienie metody wyższej krytyki, zawartej w encyklice Leona XIII, nie tylko zupełnie usprawiedliwione, lecz przedstawia się jako obrona i ratunek zasad, których nauka zaprzeczyć nie może, jeśli sama siebie nie chce zgubić.

Co tedy Papież w encyklice swej jako pewną oznakę błędu szczególniej podnosi: „różność zdań i różność pojmowania, jakich widowisko dają już ojcowie tej nauki", to się najzupełniej stosuje do „rezultatów nowszej nauki biblijnej." Jest to zarzut, na który nauka bardzo jest drażliwą. Kautzsch nazywa to wprost „nieuczciwym sposobem walki, gdy przez ustawiczne wskazywanie na wiele rzeczy niepewnych i dyskusyi podlegających wciąż chce się u nieświadomych budzić pozór, jakoby wszelkie naukowe badanie Pisma św. nigdy nic innego na jaw nie wydobyło, jak subjektywne zdanie, które dzisiaj postawione, jutro

*) Cfr. I. Müller, *Handbuch der Klass. Alterthumswissenschaft.* Bernheim,

zbite a pojutrze zapomniane być musiało.“ Wprawdzie dodaje on, „tych niepewnych rzeczy, nawet tego, co prawdopodobnie nigdy zbadanem nie będzie, jest bardzo dużo. Że zaś daleko jest więcej rzeczy ostatecznie ściśle i stale określonych, ten tylko może temu zaprzeczyć, kto sobie wyrobił sąd bez poglądu na rzeczywisty stan naukowego badania.“

Takie uroczyste zastrzeżenie nie zmienia nic we faktach; najprzód nie zdoła zmienić faktu, że hypotezy nauki dotychczas jedna drugą luzowała, znosiła, trawiła; następnie faktu, że mężowie, którzy niezawodnie mieli pogląd na rzeczywisty stan rezultatów badań a przytem nie byli zasadniczo przeciwni krytyce, a nawet w naukowem badaniu znakomity brali udział, ani tak są zgodni, ani tak pewni siebie, jak to Kautzsch w nas wmawia. Albo przyznają, że po za przypuszczenia, domysły, historyczne prawdopodobieństwa wyjść nie można, że w bardzo wielu i istotnych punktach zdanie pozostaje wątpliwe i chwiejne (Oettli), albo że w chaosie opinii, w plątaninie hypotez, które każdy zwalcza i pomnaża, z mnóstwa zaprzeczeń i nic nie rozstrzygających wymysłów nadzwyczaj trudno czysty zysk historycznych rezultatów najznaczniejszego nawet krytyka zestawić i dzisiaj liczba zyskanych z ogólną zgodą rezultatów daleko jest mniejsza, aniżeli bieżących kwestyi spornych (Reuss). A nawet nie brak takich, co są zdania, że dotychczas uprawiana krytyka (Genesis) już się rozłazić poczyna i cała nowoczesna krytyka Pentateuchu znajduje się na drodze bankructwa (Klostermann), albo równie awanturnicze jak poziome pojęcie prorockiej inspiracyi, dowolne sądy wedle widzimisię w literackich rzeczach, połączone z jadowitą polemiką przeciw wysoce zasłużonym współpracownikom — to zdaje się być nowoczesną naukowością (Oettli). Pewnie to wystarczy na usprawiedliwienie nadziei, że się spełni na obecnej nauce Star. Test. prędzej lub później to, co w Dziejach Apost. 5, 9 stoi napisane, mianowicie po doświadczeniach, jakie zrobiono z historyczną krytyką na innych polach nauki.

Już powyżej wspominaliśmy o tem wewnętrznem pokrewieństwie pomiędzy zainaugurowaną przez F. A. Wolffa filologiczno-klasyczną a nowoczesną krytyką biblii. Historya obu wykazuje też uderzające podobieństwa, nie mniej rozwój ścisłego badania historycznego. Można uznać, że na wszystkich polach „nowa metoda“ dała pobudkę do bystrych obserwacyi i kombinacyi, a może też pojedyncze osięgła rezultaty, które nauce na dobro wyszły; w ogóle jednak rzeczy mają się tak, że np. Lorenz*)

*) *Die Geschichtswissenschaft in ihren Hauptrichtungen u. Aufgaben* II 299.

słusznie mówić może, iż nie ma najmniejszego powodu mówić o większej pewności (w nowoczesnem dziejopisarstwie), owszem skutkiem nowej metody krytycznej największa część zachwiana została.

„Nie ma pewnie ani jednej rzeczy, o którejby sto różnych zdań istnieć nie mogło i od czasu narodzenia się tak zw. nowej metody ani jednego nie postawiono zdania, któregoby w kilkudziesięciu latach nie zmieniono i zupełnie na przeciwne nie przemieniono. Jeśli od czasu F. A. Wolffa, od Niebuhra i Lachmanna rozpatrzymy się w odkryciach nauk starożytności, które według nowej metody uczynić miano, to nie znajdziemy ani jednego, któreby dzisiaj nie uchodziło za zupełnie fałszywe i nie było odrzucone. W czasie, gdzie, jak dziś, Herrmann Grimm, nie tracąc jednego słowa na polemikę, jedność Iliady może dowodzić z całą siłą i wśród poklasków najznakomitszych mężów, i to prawie sto lat po pojawieniu się prologomenów (Wolffa), nie można zbytecznie polegać na trwałości rezultatów wynalezionych nową metodą. A gdy wykopaliska Schliemanna w Ilium przemówiły, to cały świat śmiał się z tego odnalezionego miasta bajecznego!... Najstarszą historyą Grecyi i Rzymu, jeśli w ogóle opowiadana bywa, każdy autor opowiada inaczej, a jednak nie można za to jednego za mniej „krytycznego i metodycznego“ uważać jak drugiego. Jeśli rzucimy okiem na dziejopisarstwo w średnich wiekach, spotkamy prawdziwą wieżą Babel krytyki... Naturalnym tego skutkiem jest to, że nie można wymienić ani jednego „krytycznego faktu“, któregoby znowu po pewnym czasie nie odrzucono. Potrzeba tylko Wattenbacha sumienne dzieło źródłowe otworzyć na pierwszej lepszej stronie, aby się przekonać, jak prawdy znalezione przez największych uczonych za pomocą krytycznej metody zadziwiająco krótkotrwałe życie mają... W tak zwanych kwestyach autentyczności nie przesadzimy, gdy powiemy, że w obec tego, co wierzono i uczono przed laty 40, zupełny nastąpił przewrot. Wonczas dokumenta nie tylko tuzinami lecz setkami za fałszywe uznawano — dzisiejsza dyplomatyka przywróciła znowu im wszystkim cześć...“ Takie doświadczenia powinny były historyczno-krytyczną naukę biblii upomnieć bardzo do ostróżności i skromności. To jej szczycenie się „ścisłą metodą“ i „pewnemi rezultatami“, to prosta blaga. Nauka biblijna powinna tak samo jak studya historyczne zastrzedz się przeciw temu, aby „jej nie przypisywano, czego zdziałać nie może, i nie odbierano jej tego, co w niej jest najlepszego“, to jest ufności do powagi mówiącego w Piśmie św. Boga.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UNIA BRZESKA
(rok 1596).*)

Jakiekolwiek być mogą przygotowania ze strony Polaków i ze strony Rusi unickiej, celem godnego obchodzenia trzechsetletniego jubileuszu wiekopomnego dzieła *Unii Brzeskiej*, książka X. Biskupa Likowskiego, do której streszczenia się zabieramy, pozostanie bodaj najtrwalszym pomnikiem. Mówiono już wiele o Unii na drugim wiecu katolickim we Lwowie, będzie więcej jeszcze rozpraw na wiecach, które się mają *ad hoc* urządzić; niejeden ukaże się artykuł gazeciarski w pismach kościelnych, niejedna broszura, a może i rozprawa: to wszystko w oczach naszych ma jednodzienne znaczenie, przeminie bez wybitnego śladu i bez nauki praktycznej; co monografia dostojnego autora przynosi w dani Rusi i Polsce na uczczenie trzechwiekowego jubileuszu Synodu w Brześciu jest wartości niepożytej. Ta monografia jest nie tylko rezultatem mozolnej pracy badacza dziejów naszych kościelno-politycznych, który źródłowo, na szerokim fundamencie oparłszy swe studya, przedstawia w całej jasności prawdę historyczną, początek i rozwój Unii, mgłę jakąś mistyczną, zalegającą tę prawdziwie *terra incognita*, rozprasza, lecz oraz czynem obywatelskim, zasługą w obec Kościoła i narodu, o ile sumiennie wytyka ujemne strony, wady i błędy po jednej i po drugiej stronie, a tak drogę i środki naprawy wskazuje. Winy i uchybienia, a nieraz ciężkie bardzo u Polaków w sprawie Unii widzieli już insi historycy, np. X. Kalinka; te winy trzeba przypominać, bośmy nie bardzo skorzy do ich uznania i do ich naprawiania; dostojny autor przypomina je co chwilę, a nawet dodaje, że to było jedną z pobudek napisania książki, byśmy zapoznawszy się z dziejami Cerkwi ruskiej, poznali oraz i winy przodków naszych, usuwali istniejące nieporozumienia, zbliżali się coraz więcej do siebie. To upomnienie słuszne, a nie można brać autorowi za złe, że zajęty przeszłością, pomija ciemne strony po drugiej stronie w dobie późniejszej i obecnej: niech Ruś sama od siebie zrobi rachunek sumienia i myśli o poprawie. Czem Ruś grzeszyła i grzeszy po dziś dzień, to wykazuje zresztą wyborna rozprawa w lwowskiej *Gazecie kościelnej* X. S. (na rok bieżący), największym zaś bodaj grzechem, grzechem jakby pierworodnym, to niezrozumienie istotnego znaczenia Unii od samego początku, to

*) Opowiedziana przez X. Biskupa Edwarda Likowskiego, Suffragana Pozn. Poznań 1896. Nakładem autora.

niezdrowe rozkochanie się w obrządku wschodnim. Dostojnemu naszemu autorowi jako Polakowi, który pierwszy podaje rękę do zgody, nie wypadało może zbyt silnie naciskać ran jątrzących się po dziś dzień w ciele Cerkwi ruskiej — niech się z Rusinami rozmówią po bratersku bliżsi im rodacy; że zaś dostojny autor widział on grzech pierworodny, nie zamilczał go, to poświadcza książka.

Nie rościmy sobie bynajmniej pretensyi do ściśle naukowego rozbioru dzieła: wszakże ono zbudowane na tylu źródłowych badaniach (zob. wykaz rękopisów lub rzadkich książek), na przejrzeniu archiwum Propagandy w Rzymie, nie mówiąc nic o korzystaniu z innych prac w rozmaitych językach, że tylko równoznaczny badacz mógłby iść z tropu w trop, kontrolować odpisy, cytaty, wnioski i rozumowania. Ograniczamy się na skromnej roli sprawozdania, o ile być może, najzwięźlejszego, ale jednak dającego jaki taki całokształt, co czynimy też i w tej intencyi, by czytelnika tą próbą zachęcić do gruntownego już zoryentowania się u samegoż źródła.

Dostojny autor w Przedmowie podaje pobudki napisania dzieła. Temi pobudkami są: jakaś niechęć naszych historyków do tej epoki: mnożące się z dnia na dzień publikacye Rosyjskie jako cenny materyał do historyi politycznej i kościelnej; przedewszystkiem starania Papieża Leona XIII około zjednoczenia Kościoła wschodniego, którego najpotężniejszym odłamem cerkiew Rosyjska. Dostojny autor dostrzega już nawet niewątpliwy ferment na Wschodzie skutkiem ogłoszenia Listów Apostolskich Leona XIII, który, jak żaden inny Papież od czasów Eugeniusza IV, zajął się gorąco sprawą zjednania Kościoła wschodniego. My nie podzielamy tyle różowych, choć pożądanych nadziei tak co do Wschodu, jak i co do schizmy Rosyjskiej. Jużcić to prawda, że i tego odłamu unia nastąpi, ale kiedy? Dostojny autor pisze, że to nastąpi z chwilą, gdy Rosya otrzyma wolność polityczną i religijną, a jednę i drugą rychlej czy później wymoże na rządzie Rosyjskim postęp cywilizacyi zachodniej w społeczeństwie rosyjskiem, bo przed jej wpływem Rosya nie zdoła się zamknąć, odgrodzić na długo. Są to, zdaniem naszem, *pia desideria*, optymistyczne zapatrywania się na rzeczy, do czego zresztą nikomu nie odmawiamy prawa. Nie nowa to kwestya. Pisał o tem O. Gagarin S. J., na co mu odpowiedziano dosadnio w *Przeglądzie poznańskim* przed czterdziestu laty. A warto też posłuchać zdania X. Leona Zbyszewskiego, w książce niedawno ogłoszonej: *Lojalizm, Kryzys Myśli Polskiej.* Ruś unicka, zdaniem X. Biskupa Likowskiego, w przyszłem zjednoczeniu Rosyi może odegrać ważną rolę: my się lękamy wprost o przyszłość Unii, lękamy się Rosyi

ze względu nawet na katolicyzm łaciński, przynajmniej w Polsce. Ostatecznie nie ma się o co spierać: przyszłość w ręku Boga, ale jeśli źle zapatrywać się na świat na czarno, to niekoniecznie dobrze łudzić się szlachetnem życzeniem.

O innej pobudce — poznania unii przeszłości, tem samem wstąpienia na drogę poprawy, jużeśmy wspomnieli. Do tego ma się i obecna książka jubileuszowa przyłożyć, i to dalsza a bardzo ważna pubudka napisania. My o tem ani na chwilę nie wątpimy, bo autor wziął się do pracy z taką serdeczną miłością do cerkwi ruskiej, do „narodu" ruskiego, że nie wacha się ani na chwilę wyznać przed światem (uczynił to już i X. Kalinka), że Polska bardzo ciężko zawiniła wobec Rusi i w obec Unii rusińskiej: zawinił rząd polski, co gorsza, zawinił episkopat łaciński, wreszcie zawiniło całe społeczeństwo polskie.

Treść dzieła podzielona na sześć ksiąg, prócz „Wstępu." Tu znajdujemy obronę Zygmunta III i Jezuitów od zarzutów ze strony naszych historyków, którzy nie rozumiejąc doniosłego znaczenia Unii, widzą raczej fatalne następstwa: rozdwojenie narodu. Obrona zwięzła i jasna przekona każdego człowieka dobrej woli. Samże bo nawet Orest Lewicki, jeden z nowszych historyków rosyjskich przyznaje, że „rdzennych przyczyn Unii trzeba szukać nie w zewnętrznych warunkach ówczesnego położenia zachodnio-rosyjskiej Cerkwi, nie w intrygach Jezuitów, nie w zamysłach rządu polskiego, ale wewnątrz niej samej i w zepsuciu głównych podstaw jej organizmu, w tej strasznej wewnętrznej truciznie, która niszczyła jej organizm i czyniła z niej łatwą zdobycz dla każdego wroga" itd. Polska mać swoję zasługę, i niepoślednią, że dopomogła do Unii, ale ma i winę niemałą, że „nie wyzyskała całkowicie i należycie, jak tylu innych zwycięztw na polach bitew walecznym orężem wywalczonych, tak i tego nad schizmą na polu ducha odniesionego zwycięztwa." Te winy wskazane są bliżej w dalszym wątku dzieła.

W pierwszej księdze mamy „rzut oka na stosunek Cerkwi ruskiej do Stolicy Apost. od zaprowadzenia chrześciaństwa na Rusi aż do drugiej połowy XVI wieku."

Ruś przyjęła chrześciaństwo w końcu X wieku z Carogrodu; razem z chrztem przyjęła i obrządek grecki do służby Bożej, rozumie się w języku słowiańskim, hierarchicznie stała się zależną od Carogrodu. Wtedy patryarchat Carogrodzki uznawał Papieża, Głowę Kościoła, więc Cerkiew ruska była ufundowana w jedności i związku z Rzymem. Patryarcha Ceru-

laryusz odczepia się od Rzymu. Jad tego odszczepieństwa wsiąka także coraz głębiej i w Cerkiew ruską, która z Carogrodu bierze metropolitów swoich; z początkiem XII stulecia czuć na Rusi wyraźną schizmę. W stosunku Rusi do Carogrodu i do Stolicy Apostolskiej nic się nie zmienia nawet i po zajęciu Rusi przez Polskę. Dopiero król Władysław Jagiełło poczyna na dobre rozumieć położenie Rusi pod względem kościelnym, czyni starania celem zjednoczenia. Dr. Ant. Prohaska rozpisuje się obszernie o tych staraniach w ostatnich zeszytach *Przeglądu powszechnego*. X. Biskup Likowski nie mógł już oczywiście korzystać z tej zkądinąd cennej rozprawy, choć nie ma powodu zbytnio żałować, gdyż wynik badań jego własnych ten sam, co uczonego profesora. Dla czego nie powiodły się na Soborze Konstanckim układy metropolity Grzegorza Cemiwlaka (Dr. Prohaska zowie go Camblakiem), obranego przeciw woli i bez zatwierdzenia patryarchy, przez Biskupów Ruskich na Soborze w Nowogrodku w r. 1417, tego nie wyjaśnia i Dr. Prohaska, bo co podaje, to rozumowania oparte na mniej pewnych przesłankach.

Odtąd w rządzie polskim widocznieje tendencya do popierania Unii; tę tendencyą czuć zresztą i w Carogrodzie w obec groźnego zalewu Tureckiego. Czuć już niedaleką Unią Florencką. Patryarcha mianuje dla Rusi — wbrew woli w. księcia Moskiewskiego — metropolitą Izydora, znanego z przychylności dla Unii. Izydor wybiera się wraz z biskupem suzdalskim i znacznym zastępem Rusinów i Moskali, duchownych i świeckich, na Sobór Ferraro-Florencki Akt Unii podpisuje Izydor, metropolita Kijowski i całej Rusi; biskup suzdalski pozostaje z resztą towarzyszy w opozycyi. Za powrotem w liście pasterskim w słowach czułych i radosnych zawiadamia Izydor owieczki o dziele unii dokonanem na Soborze, osobiście objeżdża niektóre części swej metropolii i na miejscu akt Unii ogłasza: „Jesteśmy teraz — dał Bóg — jedną bracią, Łacinnicy i Ruś."

W r. 1441 stawa w Moskwie, by i tam akt Unii ogłosić. Kniaź Wasil II wtrąca metropolitę do więzienia, Unii nie przyjmuje. Tenże Wasil każe następcę Izydora, Grzegorza, potępić jako heretyka. Z wyjątkiem Grzegorza II, Mizaela i Józefa Sołtana, reszta metropolitów w ciągu lat następnych aż do końca XV wieku sklania się więcej ku schizmie. Schizmatycka Moskwa czuwa, nie dopuszcza krzewienia się unii; chodzi jej o to, by wśród Rusinów nie zabrakło nigdy zwolenników prawosławia.

Fatalnem było dla Unii na Litwie małżeństwo w. księcia Litewskiego, następnie króla Alexandra z Heleną, córką cara Iwana Wa-

silewicza III; roje popów uwijają się po Wilnie i pod protekcyą Heleny szerzą schizmę. Zygmunt Stary przychylając się do życzenia Heleny, Jonasza, schizmatyka, czyni metropolitą Kijowskim (1519): odtąd schizma pod berłem polskiem już żadnej nie napotyka zapory, szerokiem rozlewa się na całą Ruś korytem. Schizmie dopomaga obojętność Zygmunta Starego i syna jego, Zygmunta Augusta, z drugiej strony herezya Wittenbergska i Genewska, którą się znaczna część panów polskich zaraża. Szlachty Ruskiej pod naciskiem apostazyi księcia Mikołaja Czarnego Radziwiłła odpada niemało do herezyi, ogół duchowieństwa i ludu rusińskiego zacina się w odszczepieństwie.

Księga druga kreśli „wewnętrzny stan Cerkwi ruskiej przed Unią Brzeską."

Episkopat ruski strasznie podupadł moralnie. Rozmaite były tego przyczyny, ale podobno najważniejsza: świętokupstwo i mianowanie metropolitów i biskupów przez króla, a nawet przez możne rodziny. „Łatwo się domyślić, że w takich warunkach nie decydowały zwykle o godności kandydatów na opróżnione biskupstwa zalety i zasługi kapłańskie, lecz inne przymioty, nie mające związku z godnością i urzędem pasterskim. Na władyków idą nie, jak tego stary zwyczaj cerkiewny wymagał, zakonnicy świątobliwością życia i nauką zaleceni, lecz po części ludzie świeccy, nieraz już wiekiem sterani, szukający na starość wygodnego życia i obfitego źródła dochodów: zwykle jaki pisarz królewski, skarbnik litewski, czasem poważny w województwie ziemianin, domowy przyjaciel możnych kniaziów na Rusi, jednem słowem ktoś z panów szlachty ruskiej, mający na dworze królewskim względy i poparcie, a chciwie pragnący polepszenia bytu materyalnego... Gdy względy i protekcye nie wystarczały, sięgano po upragnioną godność za pomocą brzęczącej monety. Bywało i to, że kupione dostojeństwo odprzedawano innym za wyższą cenę." To wszystko szczera prawda. Ten rak świętokupstwa toczył i Kościół łaciński po wsze czasy: simonia bądź wprost jawna i bezwstydna, bądź subtelniejsza, psuła ciało Kościoła a capite usque ad membra, bo niestety! po wsze czasy *ambitrosis plena Ecclesia;* z drugiej strony cesarze, królowie, książątka obsadzali stolice biskupie żaczkami, niedorostkami krewniakami, którzy nawet święceń kapłańskich nie mieli. Ród Symona Mage i Judasza nie tak prędko wygaśnie. Było więc to złe, ale powszechne, nie jeno na Rusi domowe.

Takich świętokupców i najmitów przesuwają się przed oczyma naszemi brzydkie postacie: metropolita Makary II, Sylwester Bielkiewicz, Onezyfor Dziewonka. Z Biskupów bodaj który był

godzien ten urząd piastować. Władyka na stolicy Lwowskiej Gedeon Bałaban to istny potwór. „W całych dziejach zachodniego Kościoła — powiada autor, a możemy mu pewnie zawierzyć — nie znajdziemy, dzięki Bogu, drugiego podobnego potworu w mitrze biskupiej.“

Niższe duchowieństwo rusińskie pogrążone w grubej ciemnocie, zaczem poszedł upadek moralny i brak wszelkiego wpływu na lud. Wiele tu znajdujemy świadectw na poparcie powyższego zdania. Ruś sama nie wiedziała, w co wierzyła, bo się wciskał i aryanizm i luteranizm i kalwinizm. Wskutek zaniedbania ludu przez duchowieństwo parafialne, całe życie religijne ograniczało się na znajomości i spełnianiu pewnych zewnętrznych praktyk religijnych, na kłanianiu się obrazom i ścisłem przestrzeganiu licznych a surowych postów. Już wówczas więc wykształceńsze warstwy społeczeństwa ruskiego, zwłaszcza szlachta zamożniejsza, przechodziły gromadnie albo do protestantyzmu, albo do Kościoła rzymskiego. Ci zaś ze szlachty, którzy pozostali w Cerkwi ruskiej, duchowieństwu swemu okazywali dla jego prostoty najwyższe lekceważenie.

I duchowieństwo zakonne — Kościół wschodni zna tylko jeden zakon, Bazylianów — żyło w rozprzężeniu; było wielu „biegunów“, wagabundów.

Złe doszło do szczytu. Na szczęście teraz też prąd reformatorski poczyna się budzić, ale nie, jakby się tego należało spodziewać, ze strony hierarchii kościelnej, lecz ze strony świeckiej. Na czele ruchu stawa książę Konstantyn II Ostrogski na Ostrogu, pan całego niemal Wołynia, patron tysiąca kościołów, wielki patryota i gorący zwolennik Cerkwi, ale uważający siebie za głowę i zwierzchnika, dumny, zagorzały, nieugięty. Poznamy go jeszcze bliżej. W ruchu reformatorskim księcia Konstantego biorą czynny udział Bractwa cerkiewne, rząd w rządzie; owszem samowładztwo mieszczańskie, coś na podobieństwo masońskich bractw w republikach Nowego Świata, o których tyle było mowy za dni naszych. Niestety, bractwa te później stały się głównemi twierdzami schizmy.

Co czynił w obec tego stanu Cerkwi ruskiej patryarchat Carogrodzki? W Carogrodzie panoszy się ciemnota i świętokupstwo, o Cerkiew Ruską nikt tam nie pyta aż po r. 1586. Pamiętają o niej, gdy chodzi o pieniądze.

Ratunek dla Cerkwi mógł przyjść jedynie ze strony Kościoła łacińskiego, który się odradzał pod tchnieniem uchwał Soboru Trydenckiego.

I przyszedł.

Księga trzecia roztacza przed oczyma naszemi barwny obraz tego wszystkiego, co poprzedza samże akt Unii. Dopiero zakon Jezuitów z chwilą pojawienia się swego na Litwie i na Rusi podejmuje na nowo myśl unii kościelnej Rusi. Autor dobrze uzasadnia, dla czego rychlej nie można się było zająć tą sprawą. Głównem siedliskiem propagandy Unii było Wilno, gdzie istniała akademia, i gdzie, jako w punkcie centralnym władzy cywilnej na całą Litwę, zbiegało się czoło szlachty litewskiej i ruskiej. Najgorliwszym krzewicielem myśl Unii jest tutaj X. P. Skarga. Książka jego o *Rządzie i jedności Kościoła Bożego pod jednym Pasterzem* (1590) była ważnym wypadkiem. Autor rozbiera to dzieło i przyznaje mu, jak słusznie, wielką wartość na owe czasy, ba nawet i po dziś dzień. Inni Jezuici również gorliwie pracują, jedni piórem, drudzy żywem słowem. Poseł papiezki X. Ant. Possevini popiera w Rzymie myśl zjednoczenia Rusi pod panowaniem Polski, bez czego o nawróceniu schizmy Moskiewskiej nie może być mowy. Stawa w Wilnie za jego radą seminaryum dla młodzieży ruskiej i rosyjskiej. Possevini rozumiał rzecz dobrze, kiedy próbował pozyskać księcia Ostrogskiego i możnych panów ruskich. W kierunku zjednoczenia dużo pracuje nuncyusz papiezki Bolognetto. Dzieło posuwa się naprzód, acz zwolna, mimo opozycyi kniazia Andrz. Kurbskiego i akademii Ostrogskiej. Wreszcie samże patryarchat Carogrodzki przyspiesza decyzyą. W r. 1588 zjawia się po raz pierwszy na Rusi patryarcha Jeremiasz II w przejeździe do Moskwy, rozumie się po pieniądze. Król Zygmunt III pozwala mu zająć się sprawami cerkwi Ruskiej w ziemiach podległych berłu swojemu. Jeremiasz stanowi metropolitą Ruskim Michała Rahozę, ale nie dowierzając mu, przeciwstawia w Cyrylu Terleckim, Biskupie Łuckim, którego wyniósł do godności exarchy, zastępcy, namiestnika swojego z pełnią jurysdykcyi, punkt oparcia dla schizmy, gdyby metropolita zdradzał zachcianki zjednoczenia Cerkwi z Kościołem łacińskim. I drugi krok patryarchy Jeremiasza — wyniesienie Bractwa lwowskiego i wileńskiego do godności Bractw stauropigialnych — acz na oko przebiegle mądry, okazał się w następstwie fałszywym. Te dwa akty rzucają kość niezgody w cerkwi. Utwierdza się przekonanie, że patryarsze chodzi tylko o pieniądze, nie o reformę cerkwi Ruskiej. Episkopat Ruski poczyna myśleć na seryo o oderwaniu się od Carogrodu. Na czele ruchu stawa — dziwna rzecz — Cyryl Terlecki i Bałaban. Każdy z innych pobudek. Król Zygmunt III i kanclerz Jan Zamoyski popierają ten ruch z pobudek religijnych i politycznych: chodziło o to, by Ruś polska nie grawitowała do Moskwy. W Bełzie (1590)

przychodzi do skutku pierwsze postanowienie czterech Biskupów Ruskich (na czele Cyryl Terlecki) zerwania z Carogrodem. Na synodzie w Brześciu Litewskim dnia 24 czerwca tegoż roku deklaracya przyjęta przez cały episkopat wraz z metropolitą Rahozą. Krótko po drugim synodzie w Brześciu (1591) Terlecki wręcza królowi deklaracyą Bełzką: król zatwierdza ją (1592) i zapewnia opiekę i obronę.

Tak rzeczy stoją *in statu quo* aż do r. 1593. Hipacy Pociej Biskup Włodzimirski popchnie sprawę naprzód. Za Unią jest i książę Ostrogski, ale stawia warunki, na które episkopat Ruski nie mógł przystać. Metropolita Michał Rahoza, człowiek słaby i chwiejny, zachowuje się dwuznacznie, nawet obłudnie, lęka się magnatów ruskich. W Brześciu dnia 12 czerwca 1595 podpisuje wraz z drugimi Biskupami adres do Papieża i do króla, w dwa dni później wypiera się swego podpisu, podając nieprawdziwe i błahe powody.

Występuje na widownią książę Konstanty Ostrogski, urażony do żywego, iż bez niego Biskupi śmieli uczynić już coś poważnego w sprawie zjednoczenia. Być może, iż i wpływy protestanckie, przeważające na jego dworze, odgrywały tu rolę; dosyć, że książę odtąd bardzo wrogie zajmuje stanowisko: zakłada protest naprzeciw Unii i równocześnie wydaje odezwę do duchowieństwa, szlachty i ludu, przestrzegając przed Biskupami — „zdrajcami.“ Nie pomogły nic gorące prośby i wielki akt pokory ze strony Hypacego Pocieja, nie pomogło i zezwolenie królewskie na zwołanie synodu, którego sobie książę życzył: książę przeciąga na swą stronę Bałabana, który się wypiera wszystkiego i protestuje naprzeciw wszystkiemu, co dotychczas zdziałano. Za Bałabanem poszedł i drugi Biskup, Michał Kopysteński z Przemyśla. Książę wchodzi nawet w spółkę z protestantami do wspólnej walki naprzeciw katolikom; grozi siłą zbrojną królowi, Papieża zowie antychrystem. Sieje niechęć i zaburzenia wśród ludu, w czem mu pomagają Biskupi Wołoscy. Król wie o wszystkiem co się dzieje: położenie niepewne, groźne. Na naradzie senatorów, ministrów, nuncyusza i Biskupów Pocieja i Terleckiego, odbytej dnia 22 września w Krakowie stanęło na tem, że dzieło rozpoczęte należy kończyć: obaj Biskupi jadą do Rzymu, gdzie stanęli dnia 25 listopada. Następują pertraktacye kilkotygodniowe, na których się obustronnie porozumiano. W dniu 23 grudnia dopełnił się uroczysty akt Unii. Papież Klemens VIII, dawniejszy nuncyusz w Polsce, ogłosił tegoż dnia bullę: *Magnus Dominus et laudabilis nimis*. Na pamiątkę tej ważnej w dziejach Kościoła chwili wybito medale złote i srebrne z napisem: *Ruthenis re-*

ceptis. Bulla oddrukowana jest w całej rozciągłości na końcu książki wraz z innemi dokumentami odnoszącemi się do Unii.

Unia przyszła do skutku. Ale odtąd rozpoczną się wichrzenia, powstanie sroga burza. Za powrotem do kraju Pocieja i Terleckiego metropolita Michał Rahoza nie przestaje odgrywać roli chwiejnej i dwuznacznej, nie zwołuje synodu dla uroczystego ogłoszenia na nim Unii. Na sejmikach, na których obierano deputatów na sejm w Warszawie, podnoszą się głosy protestacyi. Na sejmie Warszawskim 1596 r. zgrzybiały książę Ostrogski wraz z innymi deputatami podnoszą krzyki namiętne. Do walki występuje Bractwo stauropigialne Wileńskie. Metropolita skłania się wreszcie do zwołania synodu do Brześcia na dzień 8 października. Książę Ostrogski szuka pomocy u patryarchatu w Carogrodzie. Patryarcha był umarł w tym czasie, za to patryarcha Alexandryjski, Melecy, przywłaszcza sobie jurysdykcyą nad Rusią, w liście do księcia gromi odstępców, upomina do wierności Carogrodowi. I pseudo-zastępca patryarchy Carogrodzkiego, niejaki Nikifor, wichrzy na Rusi. Niepoczesne dla przyszłego synodu horoskopy.

Synod w Brześciu przychodzi jednak do skutku. Przybywają nań: metropolita Michał Rahoza, Biskup Hipacy Pociej, Cyryl Terlecki, Hermehen, Jan Hohoł, Dyonizy Zbirzejski; z Biskupów łacińskich jako delegaci papiezcy: Jan Dymitr Solikowski, Bernard Maciejowski, Stanisław Gomoliński; do pomocy dodani im X. Piotr Skarga, Justyn Rab, Marcin Laterna i Kasper Nahaj. Z Biskupów Ruskich niedostawało dwu: Gedeona Bałabana i Michała Kopysteńskiego, a raczej obaj przyłączyli się do orszaku księcia Ostrogskiego. Książę w Brześciu urządza zborzysko pod przewodem Nikifora, który metropolitę wraz z drugimi Biskupami wzywa przed siebie na sąd. Dla złej woli nie przychodzi porozumienie do skutku. Posłowie królewscy wzywają metropolitę i Biskupów, by przystąpili do spełnienia swego zadania. Dnia 9 października Arcybiskup Połocki Hermogen, odczytuje deklaracyą obecnych Biskupów przystąpienia do Unii. Ogłoszono następnie wyrok synodalny, odsądzający od dostojeństw Gedeona Bałabana i Michała Kopysteńskiego; rzekomego exarchę Nikifora i członków antysynodu wyklęto. Strona przeciwna założyła protestacyą i podała do grodu Brzeskiego. Tegoż dnia metropolita wraz z Biskupami wydał list pasterski do duchowieństwa i ludu ruskiego, uwiadamiając o wszystkiem co zaszło na synodzie. Tymczasem członkowie zborzyska odpłacają się metropolicie i Biskupom równą monetą. Król Zygmunt III powiadomiony o uroczystej proklamacyi Unii, ogłosił dnia 15 grudnia 1596 obszerny uniwersał do narodu ruskiego, zatwierdzający akt Unii. Nie-

stety! w tym uniwersale nie można się doczytać zatwierdzenia obietnic danych tylokrotnie Biskupom Ruskim i Stolicy Apostolskiej podczas rokowań o Unią. To pierwszy błąd rządu polskiego, który się wkrótce okaże fatalnym w następstwach. Przeciwnicy Unii błąd ten wyzyskali mądrze.

Stanąwszy na tym punkcie, musimy zmienić plan pierwotny. Dla braku miejsca, i żeby się nie zdawało, iż nazbyt wyzyskujemy treść dzieła, ograniczymy się odtąd na krótszej relacyi, zresztą pewni, że duchowieństwo polskie nie omieszka zapoznać się u źródła z dziejami, które go tak blisko obchodzą.

Księga piąta przedstawia szczegółowo intrygi wojewody Kijowskiego naprzeciw Unii: agituje on po całej Rusi i Litwie, najemnym pisarzom każe wydawać paszkwile na Unią, zawiera konfederacyą z protestantami celem wzajemnej obrony przeciw Łacinnikom i Unitom; na wszystkich sejmach wytacza skargi, że Unia nieprawnie zawarta, gdyż bez zezwolenia patryarchy Carogrodzkiego i bez zgodzenia się na nią całego duchowieństwa, szlachty i ludu. Oskarżano Biskupów unickich o krzywdy i gwałty. Znana maxyma: *calumniare audacter, semper aliquid haeret*, znalazła tu swoje potwierdzenie: ustawiczne skargi miały ten skutek, że społeczeństwo polskie poczęło wierzyć w prawdziwość tych zażaleń i okazywać dyzunitom spółczucie. Na sejmach zresztą dyzunici wraz z protestantami mieli większość. Groźnym dla sprawy unickiej był rok 1606, pamiętny rokoszem Zebrzydowskiego. Książę Ostrogski stanął po stronie rokoszan. Na sejmie Warszawskim r. 1607 wymogli dyzunici na królu konstytucyą, dającą dyzunii wielkie korzyści. Odtąd dyzunici coraz śmielej podnoszą głowę. Książę Ostrogski umarł r. 1608 nie dopiąwszy celu, zniesienia Unii, ale zadawszy jej głębokie rany przez dwunastoletnią zażartą z nią walkę. Gdyby książę nie był się sprzeniewierzył pierwotnej myśli, Unia nie byłaby przechodziła przez takie ognie prób najcięższych. Dostojny autor bada przyczyny tego wrogiego usposobienia księcia: prócz obrażonej dumy własnej trzeba przyjąć jako główny powód protestanckie otoczenie księcia; książę przejął się prawie bezwiednie srogą nienawiścią do Rzymu, do Kościoła łacińskiego. Sekciarską opozycyą lat ostatnich przyćmił aureolę chwały i zasługi swojej, a miał rzeczywiście wielkie zasługi około ojczyzny, był gorącym patryotą.

Bractwa cerkiewne po wszystkich znaczniejszych miastach Rusi i Litwy, zażywające w narodzie wielkiego wpływu, agitują coraz zażarciej naprzeciw Unii, głównie Wileńskie i Lwowskie. Niebezpiecznym

przeciwnikiem okazuje się Melecy Smotrzyski, nauczyciel w szkole brackiej Wileńskiej, później mnich i archimandryta, w końcu pseudoarcybiskup Połocki, w ostatnich jednak latach gorący obrońca Unii. Książka jego *Lament jedynej powszechnej Apostolskiej Wschodniej Cerkwi* (1610) działała nader jątrząco. Wyborną odprawę dali mu X. Piotr Skarga i Rusin Eliasz Morochowski, że aż Melecy zachwiał się w przekonaniach.

Po stronie dyzunii stawają Kozacy zaporozcy: Sahajdaczny Konaszewicz obwozi po Ukrainie patryarchę Jerozolimskiego Teofana, ofiaruje mu na usługi siebie samego i wszystkę swą potęgę. Teofan wzywa lud do wierności dla dyzunii, święci Biskupów, stawia Biskupów przeciw Biskupom, odbudowuje cerkiew schizmatycką. Podburzano lud do otwartego buntu przeciw Polsce w chwili, gdy Turek wkroczy w granice Rzeczypospolitej. Kozacy przyczyniwszy się do zwycięztwa pod Chocimem, z tem większą natarczywością domagają się spełnienia swych żądań, zatwierdzenia hierarchii schizmatyckiej, ustanowionej przez Teofana. Opinia publiczna stawa po ich stronie, niechęć do unitów szerzy się ze względów czysto politycznych. Biskupi Łacińscy, a na czele Prymas Gembicki, żądają nawet wprost zniesienia Unii, bo niepotrzebna, a szkodliwa dla państwa. W samymże Rzymie zaczęto tę sprawę rozważać. Tymczasem Opatrzność przyszła w pomoc Biskupom Ruskim, zostającym w śmiertelnej trwodze o przyszłość swej Cerkwi. W końcu listopada r. 1623 rozeszła się po całym kraju wieść o śmierci męczeńskiej św. Jozafata Kuncewicza.

Dopóki żył Zygmunt III, Unia miała w nim opiekuna. Syn jego Władysław IV zgadza się na ważne koncesye dla dyzunitów, przeciw którym protestują Biskupi uniccy i łacińscy. I Papież ich nie zatwierdził, ale żadne protesty nie zdołały powstrzymać biegu rzeczy.

Wstępujemy na nieco świetlejsze szlaki: księga szósta opisuje, jak Unia, mimo tylu srogich przeciwności, zwolna jednak krzepi się i zwycięża. Popierają ją Papieże: Klemens VIII, Paweł V, Grzegorz XV, Urban VIII (o czem traktuje obszernie rozdział I), popiera król Zygmunt III wraz z wielkim kanclerzem Janem Zamoyskim, choć niestety! powtarzające się nieporozumienia między królem a kanclerzem sprawiły, że wpływ Zamoyskiego na bieg spraw unickich w latach następnych osłabł, a król nie umiał się zawsze sam z siebie zdobyć na tę odwagę, jakiej zagrożona sprawa Unii wymagała.

Obrońcami naturalnymi Unii byli Biskupi. Michał Rahoza pozo-

stał wiernym, ale nic więcej nad najściślejszy obowiązek nie uczynił. Cyryl Terlecki przycichnął po synodzie Brzeskim.

Wszystek ciężar obrony spadł na Hipacego Pocieja, zrazu Biskupa Włodzimirskiego, później metropolitę. Mąż to wielkiego hartu, czujny, mężny, niestrudzony pasterz: on uratował Unią od upadku przez pierwsze lat kilkanaście. Dostojny autor kreśli bardzo wyczerpująco zabiegi i prace tego przezacnego metropolity, „męża niepospolitej miary i nieocenionych zasług około zjednoczenia Cerkwi ruskiej z Rzymską.“

Następca jego metropolita Welamin Rutski organizuje Cerkiew unicką i podnosi ją co do liczby wyznawców. Mamy tu dokładną biografią godnego ze wszech miar następcy Pocieja. Welamin Rutski to prawdziwie świetna gwiazda w dziejach Cerkwi, dla której nie szczędził ni zdrowia, ni życia. Rządy jego trwały lat 23, a te wszystkie lata były nieprzerwanem pasmem pracy, walki, ucisku, prześladowań, boleści i zawodów do nieopisania. Umarł 5 lutego r. 1637. Owoce odpowiadały pracy i cierpieniom przebytym. W chwili zgonu Rutskiego na czele ośmiu Biskupstw ruskich stoją ludzie dzielni, pobożni, wykształceni. W Rzymie nazywano go filarem Kościoła, atlasem Unii, Atanazym Ruskim.

Z większą jeszcze dokładnością, z większą, jeśli być może, miłością skreślony jest żywot Arcybiskupa Połockiego, dziś świętego Jozafata Kuncewicza (str. 333—382). On Cerkiew odradza wewnętrznie, tchnął w nią duszę swoję. Zasługi jego około utwierdzenia Unii przewyższają ogromem o wiele zasługi wszystkich innych pracowników na tej niwie. Krew jego męczeńska przysporzyła nasienia, zlutowała nierozerwalnie Cerkiew ruską z Kościołem rzymskim. Obszerny żywot św. Jozafata napisał Francuz, O. Alfons Guépin (1874); nie wiele co nowego możnaby przydać do tego cennego dzieła, ale bystry badacz wyświeca dokładniej, niż uczony Benedyktyn, jeden punkt sporny w życiu św. Jozafata; — ciężkie zarzuty uczynione Świętemu przez w. kanclerza litewskiego, Lwa Sapiehę (str. 362 i następne).

Cała Biała Ruś po zamordowaniu św. Jozafata z bardzo nieznacznemi wyjątkami, przyznawała się otwarcie do Unii. Nawraca się i główny sprawca zaburzeń, których ofiarą padł św. Jozafat, Melecy Smotrzyski; odtąd pracuje w obronie Unii, przeważnie na polu literackiem.

Po śmierci męczeńskiej św. Jozafata nadarzała się Polsce korzystna sposobność do zupełnego pozbycia się schizmy a wzmocnienia Unii. Tego chwilowego korzystnego położenia dla Unii nie umiał rząd

polski, „j a k z w y k l e“, w interesie Unii i w swoim wyzyskać. Jakbądź, męczeńska śmierć św. Jozafata wydała obfite owoce. Wiek XVII kończy się przystąpieniem do Unii ostatnich trzech dotąd odszczepionych w granicach Polski biskupstw: łuckiego, przemyskiego i lwowskiego.

Na tem kończy się dzieło poważne o 400 stronach. Następne dzieje Unii opowiedział nam już dawniej dostojny autor w książce: *Dzieje Kościoła Unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku. Poznań 1880.* Unią zdławila przemocą schizma moskiewska, za zdradą Siemiaszków i M. Popiela.

Wypada nam kilka jeszcze słów dorzucić.

Jużeśmy powiedzieli na wstępie, że nie przywlaszczamy sobie prawa krytyki kompetentnej (a od takiej autor wyczekuje sądu), gdyż dla nas te sprawy aż pótąd były nieznaną krainą. Ograniczyliśmy się na stanowisko prostego, objektywnego sprawozdania, przekonani z góry, że ostatecznie nie ma co prostować lub uzupełniać, bo wiemy, z jaką sumiennością, z jakim zmysłem krytycznym, z jaką ścisłością dostojny pisarz traktuje historyą w ogóle, a w szczególności dzieje tego właśnie przedmiotu, któremu się oddawna z zamiłowaniem poświęcił. Nie wiemy, czy na tem polu prześcignął go lub wyrównał mu nawet zmarły niedawno Biskup Dr. Pełesz, autor dwutomowego dzieła: *Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom.* Wien 1878/1880. Podnosimy jako niepoślednią zasługę, że autor dzieje dość powiklane, dość pomroczne, rozświecił gruntownie, w takiej przejrzystości i jasności historycznej ukazał, że książka jego od początku do końca czyta się z niesłychanem zajęciem. Historykowi każdemu musi chodzić głównie o prawdę historyczną; jak tylko z uprzedzeniem jakiembądź, religijnem czy narodowem, czy doktrynerskiem przystępuje do pracy, już się swemu zadaniu przeniewierza i daje nam prawdę spaczoną. Tu mamy historyka, który na podstawie dokumentów spółczesnych (prosimy przeczytać uważnie wykaz źródeł) spisuje fakta, im samym każe przemawiać, a gdzie chodzi o pragmatyczne wiązanie, o wnioski, konkluzye, niczego nie naciąga, prawdy logicznej nie gwałci. Mamy tu na myśli np. charakterystykę osób, rządu, Biskupów, społeczeństwa itd. — Nigdy nie czuć uniesienia, preokupacyi, ani zelotyzmu w żadnym kierunku, przeciwnie sąd spokojny, trafny, choć może nieraz nadarza się sposobność do folgowania żywszemu uczuciu. Taki książę Ostrogski, ileż nie nastręcza materyału do surowego sądu za tyle nieszczęść, które sprowa-

dził na dzieło Unii: autor hamuje ból serdeczny, i temu najgroźniejszemu, nieubłaganemu wrogowi nie odmawia wielkich zasług.

Chcielibyśmy jeszcze zaafirmować, że społeczeństwo powinno korzystać z nauk, które takie dzielo zawiera: *discite, moniti, historiam!* Sprawa Rusińska u nas czeka jeszcze swego szczęśliwego zamknięcia. Unia za kordonem pogrzebana: niech szczątki jej pod berłem katolickiego monarchy, pod autonomią Galicyi znajdą ochronę i należytą opiekę. Błędów przodków nie wolno bezkarnie popełniać.

Kościół polski w Ameryce Północnej.*)

Autor przystępuje nie bez pewnej obawy do przedstawienia spraw Polaków w Ameryce, gdyż polskie społeczeństwo nabroiło więcej w Ameryce, niż inne narodowości, więc trzeba będzie powiedzieć to i owo na niekorzyść polonii amerykańskiej, co w przykrem nieco położeniu stawia autora, który rozumie to dobrze, że zdaniem pisarza jest leczyć a nie jątrzyć rany społeczne, i że nieszczęśliwym wygnańcom za Oceanem pociechę raczej i ukojenie, a nie gorycz i wymówki nieść należy w ofierze. Prawda jednak, choć bolesna, ma tę zaletę, że leczy i podnosi człowieka z błędu, że go uzdrawia i uszlachetnia. Z tej zasady wychodząc, autor zamierza krótko zaznaczyć tu ważniejsze cechy i dążności polonii amerykańskiej, nie zaczepiając naturalnie osób, lecz uderzając jedynie na wady i podnosząc zalety zamieszkałych w Ameryce Polaków.

Dla wyrobienia zaś sobie jakiegokolwiek pojęcia o stanie katolicyzmu śród półtoramilionowej już dziś polonii amerykańskiej, zacząć trzeba koniecznie od charakterystyki księży polskich i od zaznajomienia czytelnika z tymi najwybitniejszymi a do niedawna jeszcze jedynymi wprost przedstawicielami społeczeństwa polskiego w Ameryce. Oni to bowiem byli tamdotąd głównymi pionierami nietylko katolicyzmu, ale

---

*) Z książki X. J. Ciemniewskiego pod tyt.: *Położenie i potrzeby Kościoła katolickiego w Stanach Zjedn. Północnej Ameryki a w szczególności zamieszkałych tam Polaków* podajemy rozdziały o Polakach w Ameryce prawie w całości, gdyż chcielibyśmy, aby te wiadomości oraz słuszne i trafne poglądy szan. autora w jak najszersze dostały się koła, a z doświadczenia wiemy, że i najciekawsze książki wielkiego u nas pokupu nie mają.

cywilizacyi i oświaty między ludem naszym, który początkowo nie brał wprost żadnego udziału w życiu i postępie amerykańskim i dotąd jeszcze stanowi klasę biednych wyrobników na wolnej ziemi Waszyngtona.

Otóż wśród duchowieństwa polskiego w Ameryce spotykamy najprzód ową wspólną wszystkim Amerykanom rzutkość, ruchliwość i przedsiębiorczość; podziwiamy wprost niesłychany u nas spryt i działalność organizacyjną na zewnątrz, bez której nie pozakładaliby oni nigdy tylu parafii polskich w Ameryce, nie pobudowali tylu narodowych kościołów, nie wystawiliby tylu szkół, zakładów publicznych i związków. Duch ten czasami za daleko ich wprawdzie unosi, ale któż z nas jest bez winy? Kto zwłaszcza w takich warunkach nie uległby ogólnemu prądowi. Widzimy dalej w nich właściwą wszystkim Amerykanom brawurę i pewną imponującą ogładę zewnętrzną i ten tak potrzebny dziś na świecie polor cywilizacyjny, którego brak wyraźnie jeszcze uczuć się daje śród naszego ludu. Dostrzegamy w nich wreszcie ten sam krzykliwy, demonstracyjny patryotyzm amerykański, bez którego w Stanach Zjednoczonych nikt widocznie obejść się nie może, ale oryginalna i bujna natura polska, sprzyjająca bardzo rozwojowi indywidualizmu swoboda amerykańska, a przedewszystkiem brak głowy, wodza, brak biskupa polskiego w Ameryce wytworzył śród nich typy, różne zupełnie od duchowieństwa irlandzkiego i niemieckiego.

Rzec wprost można, że historya polonii amerykańskiej, to monografia kilku kapłanów wybitniejszych zdolności i charakteru, którzy, dźwigając początkowo na swych barkach cały Kościół polski w Ameryce, dali dowody wielkiej gorliwości i poświęcenia kapłańskiego, choć (wskutek wyżej zaznaczonych przyczyn) nie zawsze działali w doskonałej harmonii z duchem Kościoła katolickiego. Ale „humanum errare est“ i nie to dziwić nas powinno, że w obec nieprzezwyciężonych wprost trudności ten i ów kapłan w Ameryce wszedł nawet na manowce błędu i zepsucia, ale to raczej zastanawia nas, że w Europie na podstawie tych kilku lub kilkunastu upadłych księży, potępiają zazwyczaj całe duchowieństwo polskie w Ameryce, odsądzając księży naszych od czci i wiary, stawiając ich niżej Irlandczyków i odmawiając im wszelkich zasług i uznania!

Wytłómaczyć tych bezpodstawnych, a czasami wprost nawet ubliżających zdań i sądów inaczej nie można jak tylko tem, że Polacy z natury już skłonni są do krewkości i porywczości w sądach, a trudni do refleksyi i zastanowienia się nad tem, co się mówi, a zwłaszcza co się pisze. Bo chwilkę bodaj zastanowiwszy się nad rezultatem

pracy kapłanów polskich w Ameryce, już każdy przyznaćby musiał, iż są one wprost olbrzymie.

Lud nasz przyniósł wprawdzie do Ameryki gorącą wiarę swych ojców, ale przyniósł jednocześnie ze sobą wszystkie znamionujące go dziś jeszcze wady i cechy narodowe — głupotę, niezaradność, łatwowierność, a przytem skłonność niesłychaną do kłótni, pychy i niesubordynacyi. Co stałoby się z tym ludem w Ameryce, gdyby nie polscy księża? Autor sam z bliska miał sposobność zetknąć się w Ameryce z naszym ludem i wyznaje to publicznie, że tam dopiero poznał, czem jest ten tak wyidealizowany lud nasz polski! Krótko mówiąc, lud ten, pozostawiony samemu sobie w Ameryce nie tylko straciłby wiarę i język ojców, ale z pewnością przerzuciłby się do jednej z tych przeróżnych sekt amerykańskich, a jednocześnie stałby się igraszką tego lub owego awanturnika, który potrafiłby do niego przemówić. Pomimo niezaprzeczonego poczucia potrzeby wiary i kierownictwa, jest on przecież zupełnie ślepy i bezmyślny, a przytem pełen dzikich wprost jeszcze popędów i uczuć!... Wolność i swoboda amerykańska byłaby więc wprost zabójczą dla niego, gdyby nie polscy księża, którzy jedni potrafili go ujarzmić i gdzie nie mogło już podołać wojsko i policya, tam oni wprowadzili ład i porządek. Bez księży polskich nie byłoby tych tak już licznych dziś kościołów i parafii polskich w Ameryce, nie byłoby wcale szkół, stowarzyszeń, bibliotek i wydawnictw polskich, nie byłoby słychać mowy i języka polskiego. Rozporządzający olbrzymiemi niemal funduszami „Związek świeckich Polaków w Ameryce“ nic literalnie nie zrobił dla ducha i narodowości polskiej w Ameryce, bo działalność swoją ograniczył wyłącznie do zbierania pieniędzy i tworzenia synekur dla lichych nieraz figur i przedstawicieli świeckiej inteligencyi polskiej w Ameryce. Bez księży więc lud nasz byłby narażony na to samo, co stało się z nim w Brazylii. To powinni mieć najprzód na myśli ci, którzy tak lekkomyślnie potępiając całe duchowieństwo polskie w Ameryce, zapominają, że łatwiej jest stokroć niesłusznie kogoś zniesławić, niż zniesławionemu cześć należną przywrócić.

Przyczyną tych fałszywych wieści o duchowieństwie polskiem w Ameryce było to jeszcze, że o pracy gorliwych, a cichych kapłanów, albo nie wiele, albo nic nawet społeczeństwo nasze nie wie, nadużycia zaś i krzyczące wybryki niektórych wykolejonych księży polskich w Ameryce gazety rozniosły zaraz po świecie, a stugębna fama uprzedzała nawet ich wybryki i zbrodnie. Nie umiejąc odróżnić złego od dobrego, a raczej nie znając wcale dobrego dla braku stałych korespondentów z Ameryki i słysząc tylko ciągle o złych postępkach kapłanów polskich

za Oceanem, wytworzyliśmy sobie mylne zupełnie pojęcie o całym bez wyjątku klerze polskim w Ameryce. Nie śledząc za ruchem i przeobrażeniem się Kościoła polskiego za Oceanem, nie zauważyliśmy wcale, że Kościół ten powoli oczyszcza się i przeobraża, że zwolna dochodzi do równowagi i że jeżeli nie doskonalsze, to z pewnością nie gorsze wcale, niż kler irlandzki wkrótce zajmie on może stanowisko w Ameryce. I duchowieństwo irlandzkie miało bowiem swój czas, w którym nieporozumienia i kłótnie po parafiach zamącały spokój i rozwój prawidłowy katolicyzmu — przetrwało jednak te burze i dziś stoi o tyle wyżej od duchowieństwa polskiego, że jako starsze ma więcej doświadczenia i dojrzałości politycznej.

Polacy zaś w Ameryce dotąd są jeszcze w stanie przejściowym, co dzień niemal przeobrażają się oni i zmieniają i dla tego właśnie tak trudno wytworzyć sobie o nich sąd i zdanie objektywne. Co do mnie sądzę, że dla nabycia właściwego pojęcia o obecnym stanie polonii amerykańskiej, koniecznie trzeba cofnąć się nieco w tyl i rozróżnić między duchowieństwem polskiem w Ameryce trzy epoki.

I. Epoka walki i zawziętych kłótni, która trwała w przeszłym dziesiątku naszego stulecia.

II. Epoka ogólnego rozbicia na obozy i kółka oraz idącego w ślad za niem osłabienia, zwątpienia i rozstroju, jaki ogarnął społeczeństwo polskie w Ameryce na początku bieżącego dziesiątka lat.

Wreszcie III. epoka reakcyjna, przypadająca na obecne czasy i odznaczająca się ogólnem dążeniem do naprawy popełnionych błędów. Epoka narad, zjazdów i powszechnej dążności do reformy. W Europie tych epok nie rozróżniają wcale i wskutek tego właśnie mają przesadne zupełnie pojęcie o polonii amerykańskiej. Przeszłe grzechy kładą na karb dzisiejszego duchowieństwa i nazbyt szybkiem uogólnianiem sporadycznych faktów wydają często niesprawiedliwy zupełnie sąd o całem dzisiejszem duchowieństwie polskiem w Ameryce.

Aby uniknąć tego rodzaju pomyłek, pamiętać więc najprzód potrzeba, że w Kościele polsko-amerykańskim w ostatnich czasach zaszedł ogromny przewrot, który jakkolwiek zniesławił imię polskie w Ameryce, zapisując w Historyi Kościoła katolickiego dziesiątki odstępstw i świętokradztw, w rzeczywistości jednak był prawdziwym postępem dla nas. Pękł bowiem powstały od dawna już wrzód, a gromadząca się dotąd w łonie Kościoła polskiego zgnilizna i ropa, odpadła szczęśliwie w postaci znanych już dziś powszechnie odstępców Kołaszewskiego, Kozłowskiego, Klawitera, i tym podobnych ludzi, którzy w Cleveland, Chicago, Buffalo i innych większych miastach Północnej Ameryki po-

tworzyli t. zw. „kościoły niezależne“, gromadząc około siebie szumowiny i fusy społeczeństwa polsko-amerykańskiego.

Płakać wprawdzie należy nad tysiącami poczciwych dusz, które zaplątały się między stado tych wilków drapieżnych i dzikich, ale w Ameryce tak dalece zaszło już zepsucie, że bez tego oddzielenia kozłów od owieczek wszyscy mogliby stać się ofiarą apostazyi i bezbożności. Słusznie więc mówił pewien pobożny kapłan w Ameryce, że dla dobra prawdziwych katolików w każdej polskiej parafii pożądaną byłaby schizma, w ten sposób bowiem najlepiej i najprędzej oczyściłoby się społeczeństwo nasze w Ameryce, a jednocześnie wyjaśniłaby się dwulicowość niewyraźnych dotąd indywiduów. Wilcy, którzy dotąd przybierali jeszcze postać jagniątek, występują już tam dziś we własnej skórze i lud nie może się wahać po czyjej stanąć stronie i za kim iść: „związkowcy“ nawet zrzucili już przyłbicę i pokazali, czem są w rzeczywistości, zrywając publicznie z Kościołem i rzucając nań słowa lekceważenia i pogardy.

Nadto przekonaliśmy się dziś już wszyscy, jak płytkim, jak powierzchownym jest ten nasz okrzyczany katolicyzm polskiego chłopa; jak nieoświeconym i ślepym jest ten nasz lud wiejski przy całej swojej powierzchownej pobożności i wierze, skoro na takie dał się wprowadzić manowce i na tak pochyłą zszedł drogę. Dość powiedzieć, że apostata klevelandzki, aby oszukać i otumanić lud nasz polski, potrzebował tylko wziąć Hostyę konsekrowaną do ręki i, zwróciwszy się z płaczem do ludu, zawołać: „Patrzcie na tego Boga ukrytego! Gdybym ja był winny, gdyby prawdą było to, co mi biskupi i księża zarzucają, gdyby słuszną była rzucona na mnie przez Ojca św. klątwa, to czyż ten Bóg sprawiedliwy nie skazałby mnie wnet na śmierć? Czy pozwoliłby mi piastować się na ręku, przyjmować do łona, nosić do chorych?... Zapewne że nie, a tymczasem widzicie mnie oto codziennie przy ołtarzu i Komunii św., bo wtedy gdy mnie księża, biskupi, nawet sam Papież potępił, — Bóg jest zawsze ze mną. On jeden broni mnie dotąd i strzeże!“ Dosyć, mówię, było tego sofizmatycznego argumentu, aby lud nasz oszukać i pomimo najoczywistszych dowodów wmówić w niego niewinność potępionego przez Kościół i przez samego nawet Papieża apostaty! Taką jest naiwność i łatwowierność naszego ludu! Żeśmy się o tem przekonali, że widzimy już teraz naocznie, co warta ślepa wiara bez znajomości katechizmu, to zawdzięczamy właśnie schizmie i amerykańskim apostatom.

Sami Biskupi amerykańscy przestali już teraz myśleć o jak najszybszem zamerykanizowaniu Polaków i więcej poczęli się z nimi dziś

liczyć; przestali przyjmować suspendowanych i wydalonych z zakonu lub dyecezyi księży, przestali obsadzać polskich parafii ludźmi podejrzanego charakteru i zasad, a natomiast poczęli starać się o dobrych i gorliwych kapłanów, poczęli bronić i popierać ich w sprawach z ludem, poczęli zakładać bursy dla Polaków w seminaryach, jednem słowem poczęli oczyszczać i reformować duchowieństwo polskie w Ameryce. Ztąd schizma — rzec można — wydała dobre owoce i miała również swą dobrą stronę: otworzyła ona Biskupom amerykańskim oczy na to, do czego wolnomyślna polityka ich zmierza, oczyściła parafie polskie od intruzów i przybłędów, a duchowieństwo polskie uwolniła od nieprzyjemnych i ubliżających wprost imieniu kapłana socyuszów.

W Europie jednak zazwyczaj nie widzą tej dodatniej strony schizmy i tylko złe, ujemne umieją wyciągać z niej wnioski, kładąc je przytem na karb duchowieństwa polskiego w Ameryce, zamiast przypisać to warunkom miejscowym i taktyce Biskupów amerykańskich.

Reakcya i oburzenie, z jakiem duchowieństwo polskie w Ameryce wystąpiło przeciwko schizmie, najlepiej świadczy o jego katolickich i patryotycznych zasadach i daje najlepszą rękojmię przyszłego rozwoju Kościoła polskiego w Ameryce. Oto co przedewszystkiem należy wziąć pod uwagę, aby ocenić duchowieństwo polskie w Ameryce. Pisząc to, nie myślę jednak, bynajmniej, bronić apostatów lub popierać schizmy; daleki jestem również od tego, abym miał usprawiedliwiać postępowanie niektórych kapłanów polskich w Ameryce, którzy zachowaniem się swojem przyczynili się w pewnej mierze do schizmy, popychając zbytnią surowością swoją lud i upadłego chwilowo księdza do apostazyi i zerwania z Biskupem. Księża ci — powodowani właściwą Polakom krewkością — przekroczyli nieco granice swoje i zapomnieli, że lepiej być karanym za zbytnią łagodność, niż za zbytnią surowość. Działali oni jednak bez wątpienia w dobrej wierze i gorliwą pracą na innem polu sowicie opłacili te błędy.

Na poważną naganę zasługują ci jeszcze, którzy czy to nieoględnem szafowaniem funduszami parafialnymi, czy to nieliczeniem się z ludem i niezdawaniem przed nim rachunków, dali pole burzycielom do posądzeń o nadużycia, a lekkomyślnem zaciąganiem olbrzymich nieraz długów przyczynili się bardzo do rozdrażnienia i zniechęcenia obciążonych zbytnio procentami parafian.

Lud nasz z natury już podejrzliwym jest i nieufnym nad wyraz i jeżeli tylko ksiądz nie przestrzega ściśle rachunków, lud z pewnością posądzi go o malwersacye, a przy sposobności sam jeszcze roztrwoni

niejeden ciężko zapracowany grosz współbrata i towarzysza swego. Nie można, mówię, pochwalać tego, bo to w pewnej mierze przyczyniło się do schizmy, dając apostatom sposobność do napaści i łżenia katolickiego duchowieństwa i katolickich biskupów. Wszystko to, powiadam, nagannem jest bez wątpienia, ale w innych warunkach i przy innych okolicznościach nie zrobiłoby nawet wrażenia na ludziach, a cóż dopiero żeby mogło wywołać schizmę!

Za schizmę nie odpowiada wcale duchowieństwo polskie, lecz nieszczęśliwe prawa i zwyczaje amerykańskie, które pozwoliły intruzom i ludziom bez czci i wiary wejść do owczarni pańskiej w Ameryce!...

Autor umyślnie rozpisał się tak szeroko o wolności i swobodzie amerykańskiej, aby przekonać czytelnika, że wyrosła na gruncie tamtejszym schizma polska jest prostym tylko wynikiem tej zbytniej swobody, jaka z czasem całą Amerykę może wtrącić na rozdroża błędu i zepsucia. Duchowieństwo polskie nic z tem wspólnego nie ma i nie miało. Owszem od samego początku zachowało się ono zawsze wzorowo w obec tych intruzów, których Europa wydalila jako katolicka, a Ameryka przyjęla jako liberalna. Idzie więc tylko o to, abyśmy zdołali wyśledzić te wady i błędy duchowieństwa, które nie wywolały schizmy (bo ona w obec praw i korrupcyi amerykańskiej była wprost nieuniknioną), ale dały w pewnej mierze pochop apostatom do wystąpienia śmielej i bezczelniej, niż mogliby to uczynić w pierwszych zawiązkach Kościoła polskiego w Ameryce.

Na wypadki tego rodzaju co schizma, składa się zazwyczaj wiele przyczyn, pomiędzy któremi w Ameryce główną rolę odegrała głupota i wady naszego ludu, a jednocześnie liberalne prawa amerykańskie, które najgorszym nawet infamisom dają wstęp do Kościoła.

Ale są jeszcze przyczyny dalsze, pośrednie, które choć same nie wystarczyłyby nigdy do wywołania schizmy, mogły się do niej przyczynić o tyle, że osłabiły powagę dobrych kapłanów w Ameryce i odebrały im możliwy wpływ na zażegnanie tej strasznej, smutnej ostateczności. Gdzie są te dalsze przyczyny schizmy? Gdzie wystąpiły te nieszczęśliwe wady nasze narodowe, które w Ameryce nawet zatruły nam życie? Co zaszkodziło nam najwięcej w tym kraju? Oto wzajemna nienawiść i prześladowanie się tych, których zarówno religia i język, jak stanowisko i wspólna niedola łączyć powinna i wiązać jak najściślej.

To też w Ameryce na szczególne napiętnowanie i potępienie zasługuje wzajemne szykanowanie się braci kapłanów po pismach, które bardziej, niż wszystko inne przyczyniło się do schizmy, bo najprzód

dało pochop świeckim pismakom do oczerniania i spotwarzania księży, co w niesłychany sposób podkopało wpływ i powagę polskiego kapłana w Ameryce. Następnie zaś przyczyniło się do niezgody, rozdwojenia i rozbicia polonii amerykańskiej na partye i stronnictwa, które, zamiast kochać się i wspierać wspólnie, siły i zdolności swoje niszczyły na wzajemną eksterminacyę i zgubę! To też ta zacięta walka na pióra braci Polaków w Ameryce stanowi najsmutniejszą kartę w historyi Kościoła polskiego w Ameryce. Wywołała ona nieobliczone szkody, splamiła i zniesławiła imię polskie w Ameryce, zbeszcześciła religię naszą, zdemoralizowała ogół czytający. Dziś zęby już nam pocierpły od pożywania tych kwaśnych owoców „prasy polskiej" w Ameryce i najwięksi nawet amatorzy skandalicznych gazet ze wstrętem odwracają się od tych szpargałów. Ustala śród duchowieństwa chorobliwa mania szykanowania i wyśmiewania konfratrów, ale usłużny szatan innym ludziom powierzył kontynuowanie tej zabójczej roboty. Pojawiły się pisma rewolwerowe, utrzymywane zazwyczaj przez apostatów lub płatne przez Moskali, w których wyzuci z wszelkiej czci i wiary pismacy miotają bluźnierstwa i potwarze na księży, a lud, raz zasmakowawszy w skandalicznej prasie, chciwie chwyta ten owoc pomimo zakazu księży i biskupów amerykańskich.

Niezgoda i bezcelowa kłótliwość nasza polska wystąpiła tu na jaw w całej pełni i pokazało się, że klęski i prześladowanie nie nauczyły nas jeszcze rozumu... Ta smutna karta w dziejach Kościoła polskiego w Ameryce przypada na rok 1886—88, kiedy to dwa katolickie pisma *Kropidło* i *Zgoda* nietylko wrogo wystąpiły przeciwko sobie, ale poczęły wprost niszczyć i tępić się wzajemnie.

Historya jest nauczycielką ludów, a rozpamiętywanie z należytym spokojem grzechów młodości każdemu może przynieść korzyść. Zastanówmy się więc krótko nad przebiegiem tej walki, która raz jeszcze dowiodła, że my sami więcej sobie zazwyczaj szkodzimy, niż najwięksi nawet nieprzyjaciele nasi szkodzić i gnębić nas mogą.

Czując potrzebę organizacyi i łączności w obec trudnych i przykrych stosunków amerykańskich, polonia amerykańska założyła „Zjednoczenie" wszystkich polskich księży w Ameryce, do którego należeli także świeccy. Była to rzecz arcy-mądra i arcy-dobra, ale czy wadliwa w ustroju, czy nieoględna w przyjmowaniu członków, dość że wkrótce po jej zorganizowaniu się część duchowieństwa oderwała się od „Zjednoczenia" i utworzyła drugi — również na całą Amerykę powszechny — „Związek" narodowy polski. Pozostali przy „Zjednoczeniu" kapłani oburzyli się na to bardzo i przeciwko odłączonym od siebie

konfratrom zaczęli pomieszczać gorszące bardzo polemiki w organie swoim *Kropidle*. „Związkowcy“ — broniąc się niby — poczęli używać tej samej broni, i jęli wprost błotem obrzucać kropidlarzy, tak bowiem poczęli oni zwać księży należących do „Zjednoczenia.“ Ale „Zjednoczenie“ nie dało się wyprzedzić w polemice i na wszelkie ataki związkowców odpowiadało nowemi obelgami. Posypały się więc repliki i artykuły, pełne insynuacyi i obelg, w których autorowie zapomnieli zupełnie o należnem poszanowaniu godności kapłańskiej.

Z jednej i z drugiej strony stanęli przytem do walki ludzie zdolni do pióra i pełni złośliwego dowcipu, a że gazety te rozsyłano bezpłatnie w ogromnej liczbie egzemplarzy, przeto skutek musiał nastąpić, a powaga kapłańska nie mogła na tem nie ucierpieć. W polemikach tych nie chodziło tyle o zasady, ile o zdyskredytowanie i wyszykanowanie przeciwnika, bo ta sama osoba, która początkowo najzjadliwsze artykuły pisywała w *Zgodzie*, przerzuciła się później do kropidlarzy i ciskała gromy na związkowców w nowym organie *Wierze i Ojczyźnie*, powróciwszy zaś do Europy nie omieszkała wydać wyroku potępienia na całą już polonię amerykańską. Kto dziś był po stronie Chicago, jutro stawał po stronie Buffalo i piorunował na swych dawnych chlebodawców w Chicago! Zamiast pracować nad podniesieniem powagi kapłańskiej śród ludu, pracowano nad jej podkopaniem i zniszczeniem w społeczeństwie. Bóg nie mógł błogosławić tej pracy i skutki tego zabójczego posiewu wnet się okazywać poczęły. Najprzód „Związkowcy“, widząc wzajemne kłótnie i prześladowanie się księży, zmusili ich do opuszczenia „Związku“ i poczęli się sami rządzić i obywać bez księży, co przyczyniło się do bardzo szybkiego ich upadku. Nie posiadając wcale między sobą inteligentnych katolików, dostali się oni najprzód w ręce żydka, który ich nielitościwie okradł i zarwał, a potem stali się ofiarą anarchistów i liberałów.

Wiadomo, że dziś „Związkowcy“ wyraźnie już wystąpili przeciw Kościołowi katolickiemu, a przynajmniej wyrzekli się zasad wiary i, przyjmując do grona swego odszczepieńców, sami stanęli nad przepaścią socyalizmu i anarchizmu!...

Taki jest pierwszy skutek tej bezmyślnej i bezcelowej walki na pióra! Cały niemal t. zw. „Związek narodowy“ stracony jest dla Kościoła; wiary trzymają się oni tylko z patryotyzmu i ze zwyczaju, ale dzieci ich pomimo patryotycznej frazeologii ojców przestają już mówić po polsku, a z językiem łatwo utracą pozostałe jeszcze resztki wiary.

Drugim skutkiem tej polemiki było rozdraźnienie ogólne i rozbicie polonii amerykańskiej na partye i obozy, na kółka i stronnictwa,

które w najwyższym stopniu osłabiają wpływ i stanowisko polonii amerykańskiej. Tak obficie i przez tak długi czas rzucane ziarna niezgody i waśni musiały w końcu wydać swój plon. Bez potrzeby i celu prowadzona walka nietylko podkopała powagę kapłana i stała się przyczyną niewiary „Związkowców“, ale wyziębiła miłość w duchowieństwie i rozbiła je na pojedyńcze atomy, w całem zaś społeczeństwie zasiała ducha egoizmu, sobkostwa i prywaty.

Pozbawiony głównej i najkonieczniejszej podpory — biskupa polskiego — Kościół polski w Ameryce rozbił się tam na rozmaite kółka i towarzystwa, które swoich tylko partykularnych pilnować poczęły interesów, a o szerszym wpływie i łączności dotąd jeszcze wiedzieć nic nie chcą!

Podczas pobytu mego w Ameryce Północnej byłem pomimowolnym świadkiem rozdrobnienia i dzielenia się polonii amerykańskiej na coraz to mniejsze kółka i kółeczka, stowarzyszenia i związki. Oprócz wyżej wzmiankowanych stowarzyszeń „Zjednoczenia“ i „Związku“ jednocześnie niemal powstała „Unia“, „Liga“, „Związek Zachodni“ etc., a oprócz tego każde miasto poczęło tworzyć swoje odrębne organizacye i stowarzyszenia, odrywając się od pierwotnych związków i korporacyi. To w wysokim stopniu osłabiło polonię amerykańską, upodabniając do rozbitego na poszczególne atomy ciała, z których każdy w inną dąży stronę, a wszystkie razem, jakby prądem odśrodkowym niesione, coraz bardziej oddalać się od siebie poczęły. Zarówno w życiu towarzyskiem, jak i społecznem polonii amerykańskiej powtarza się zawsze ta sama wada nasza narodowa: brak jedności i zgody, brak solidarności i jednomyślności w prowadzeniu szkoły, w zarządzaniu parafią, w walce ze schizmą, w utrzymywaniu książek i regestrów etc. etc. Każdy działa tam na swoją rękę i każdy wedle swego postępuje planu, bo każdy pozostawiony tam jest samemu sobie, a kontrola miejscowych biskupów nad polskimi księżmi równa się prawie zeru.

Gorszem stokroć ziarnem owej nieszczęśliwej polemiki jest niechęć, nieufność, podejrzliwość, a nawet wyraźna nienawiść między tymi, którzy powinni świecić przedewszystkiem miłością i zgodą wzajemną. Dziś jeszcze — po kilkoletnim już pokoju w prasie amerykańskiej — Europejczyk czuje wyraźnie jakiś kwas, jakąś niechęć rozlaną w sercach Polaków w Ameryce. Z duchowieństwa bowiem jad ten przeszedł, niestety, na cały lud nasz polski w Ameryce! Widząc wyraźną niechęć swego proboszcza do sąsiedniej parafii, lud także począł nienawidzić swych braci z sąsiedniej parafii, lub stowarzyszenia, począł ich przezywać i wyśmiewać, począł czynnie nawet przeciwko nim występować,

tem bardziej, że warunki polityczne Ojczyzny naszej i tak już przyczyniają się do niezgody między nami. Kto wtedy należał do parafii księdza X., nie mógł prawie spokojnie przejść przez dzielnicę, w której mieszkali parafianie księdza Y., a gdy parafianie walczących ze sobą proboszczów zeszli się przypadkiem w gospodzie, to żadnym już sposobem nie mogło obejść się bez bójki i dopiero policyant i koza mitygowały ich zapał!

Co ztąd wynikły za skutki, łatwo przewidzieć. Najprzód lekceważenie i pogarda niemal śród Amerykanów, którzy gorszyli się bardzo tem wszystkiem. Dalej osłabienie i wprost bezsilność Polaków w Ameryce. Jakoż, pomimo pokaźnej liczby głosów, jaką rozporządzają przy wyborach, Polacy w Ameryce nizkie bardzo i podrzędne tylko zajmują stanowiska. W Buffalo n. p. i w Detroit, gdzie stanowią piątą część ludności, nie posiadają oni żadnych wyższych urzędów i zaledwie kilka tylko podrzędnych otrzymali oni stanowisk i to dzięki... cudzoziemcom. Niezgoda i kłótnie tak się już bowiem zaszczepiły między nimi, że sami się oni tam gnębią i sami wzajemnie sobie szkodzą w polityce. Zamiast postawić jednego kandydata i popierać go gromadnie, Polacy stawiają ich pięciu, a potem kłócą się jeszcze między sobą i wzajemnie się prześladują. Przy wrodzonym sobie sprycie i zdolnościach mogliby oni wcale wybitne stanowisko zająć w Ameryce i niepoślednią odegrać rolę w polityce, cóż kiedy sami tego nie chcą i o tem nie myślą!

Wielu z nich dobiło się już nawet wyższych stanowisk dozorców i kierowników po fabrykach i wszystko szło im dobrze, dopóki mieli pod swoją komendą Anglików lub Niemców, ale gdy przyszło dwóch lub trzech Polaków, ci wypowiadali im zazwyczaj posłuszeństwo, mówiąc: „Albo to oni lepsi od nas? Czego to im się zachciało? Nie mogą wziąć łopaty i pracować jak my?!“ Taka jest polityka naszego ludu! O ile przyczyniła się do tego waśń i rozsterka starszych, o ile nauczyli się oni tego od swych przełożonych, o tem wolę nie pisać.

Nie odpowiadamy za schizmę i kościoły niezależne w Ameryce, ale odpowiadamy za obniżenie powagi kapłańskiej śród świeckich, bośmy jej sami nie szanowali; odpowiadamy za rozpowszechnioną dziś w Ameryce pornograficzną prasę, która suchej nitki nie zostawia na najświętszych nawet kapłanach, bośmy ją sami niegdyś popierali; odpowiadamy wreszcie za rozdwojenie i rozbicie obozu katolickiego, bośmy go sami rozbili.

Ale każda akcya ma swoją reakcyę, jak mówi niemiecki filozof. I w Ameryce dzięki Bogu od lat kilku zaznaczył się już powszechny zwrot ku lepszemu. Schizma — jak powiedziałem — miała tę dobrą

stronę, że otworzyła nam oczy na rzeczywisty stan nasz w Ameryce. Sama groza położenia pobudziła cały ogół duchowieństwa polskiego do refleksyi, jakoż na każdym niemal kroku czuć tam dziś widoczny postęp ku lepszemu. Ustała najprzód szermierka na pióra, ustało wzajemne prześladowanie się i szykany, a w obec wspólnego wszystkim wroga schizmy wszyscy już dziś niemal myślą o potrzebie jednostajnego działania i systematycznej obrony. Duchowieństwo polskie w Ameryce wchodzi obecnie w nową zupełnie fazę, fazę pracy organicznej nad wzmocnieniem katolicyzmu w Ameryce i podniesieniem dobra publicznego; — i to właśnie stanowi najchlubniejszą może kartę w dziejach polskiego Kościoła w Ameryce.

Duch katolicki panuje tam jeszcze silnie i jest go z pewnością więcej, niż o tem sądzą w Europie. Objawia się on najprzód w gorliwej bardzo pracy kapłanów polskich po parafiach nad oczyszczeniem zapuszczonej nieco i odleżałej podczas poprzednich walk i kłótni parafialnych roli; objawia się następnie w powszechnej już dziś dążności w Ameryce do połączenia wszystkich sił polsko-katolickich w jedno organiczne ciało, które mogłoby skuteczniej oddziaływać przeciw schizmie i poganizmowi. Prąd ten trwa już od lat kilku. Wyszedł on (jak wszystko zresztą) z Chicago i datuje się od chwili, kiedy Zjednoczenie poczęło szukać porozumienia się ze Związkiem. Było to w r. 1891 podczas pamiętnej rocznicy konstytucyi 3 maja.

Krok ten nie wydał wprawdzie pożądanych rezultatów, ale prąd pojednawczy nie ustał i w dwa lata potem, na wystawie w Chicago, próbowano znów przywrócić zgodę. O ile pamiętam Zjednoczenie (tj. kapłani) okazywali nawet wiele pobłażliwości i ustępstw dla Związku (tj. dla świeckich), bo żądali od nich tylko zachowania czwartego przykazania kościelnego! Do porozumienia jednak i wtedy nie przyszło, bo Związkowcy za daleko zaszli już w swoich liberalnych poglądach. Duch łączności i zgody począł jednak trafiać coraz bardziej do przekonania kapłanów i coraz liczniejszych zyskiwać zwolenników. Poczęły się ustawiczne zjazdy i sejmy, posypały się rady i projekta, pojawiły się memoryały na temat ogólnego porozumienia się kapłanów polskich w Ameryce i powszechnej jakiejś reformy. Całe przeszłoroczne lato było jedną wielką epoką sejmów i zjazdów księży polskich w Ameryce. Zaprotestowano na nich publicznie przeciw schizmatykom, zaznaczono swą wierność i lojalność w obec Papieża i miejscowych Biskupów, postanowiono pracować wspólnie nad wykorzenieniem kąkolu, jaki szatan posiał podczas dawniejszego uśpienia i walki, jęto się ratować gorliwie to, co zostało jeszcze przy Kościele. Celem podniesienia i pielęgno-

wania oświaty śród ludu ustanowiono t. zw. Ligę, która powoli wprawdzie, ale jednak stale zadanie swoje spełnia w Ameryce.

Radzono poważnie nad podniesieniem i zreformowaniem Seminaryum polskiego w Detroit; choć zabiegi te nie przyniosły dotąd pożądanych rezultatów, samo poznanie złego i próby tej reformy są już chlubnem świadectwem dla kleru polskiego w Ameryce. Celem niesienia pomocy biednym emigrantom naszym grono szlachetnych kapłanów wznowiło i poparło silnie dom emigracyjny w New-Yorku, nie szczędząc grosza i pracy dla niesienia ulgi maluczkim.

Celem wzajemnego porozumienia się ze sobą oddzielnych korporacyi poczęto wyznaczać delegatów na zjazdy wrogich sobie nawet dotąd organizacyi. Z Chicago przybyli delegaci „Zjednoczenia“ do Buffalo na sejm Unii, a ta znów wysłała swego przedstawiciela na sejm Zjednoczenia...

Obecnie robią się przygotowania do kongresu wszystkich kapłanów polskich w Ameryce, przedwstępna konferencya odbyła się już w Detroit i jakkolwiek kongres ten, wskutek braku rzeczy najważniejszej. polskiego biskupa, nie może być niczem innem, jak tylko wielkim zjazdem katolickich przedstawicieli parafii, organizacyi i towarzystw polskich w Ameryce pod przewodnictwem miejscowych kapłanów, — zawsze jednak jest to wyraźny krok do pojednania i połączenia się wszystkich polsko-katolickich sił w Ameryce.

Te i inne drobniejsze fakty z ostatnich lat życia i rozwoju Kościoła polskiego w Ameryce Północnej są najlepszym dowodem, że mylą się bardzo ci, którzy, nie zbadawszy rzeczy dokładnie i jednostronne tylko słysząc zdania, z góry potępiają ogół polskiego duchowieństwa w Ameryce, jak gdyby między nimi wcale już nie było zacnych i prawych kapłanów Chrystusowych. Na pociechę naszą publicznie wyznać trzeba, że duch katolicki w ostatnich latach nie tylko nie zmniejszył się i nie wygasł tam wcale, ale zaczyna on rozwijać się coraz bardziej i coraz to szersze poczyna ogarniać sfery! Duchowieństwo polskie w Ameryce weszło bez wątpienia teraz w nową fazę, poczęło lepiej pojmować swoje zadanie i w inny zupełnie sposób zapatrywać się na sprawy publiczne. Ci, którzy stoją na czele tego ruchu, na tem większe zasługują uznanie, że ogień przychodzi im niecić na dawniejszem zgliszczu, że z gruzów tylko i pozostałych szczątek budować oni dziś muszą nowy gmach kościoła polskiego w Ameryce, że przy tej robocie muszą oni na wzór dawnych żydów w jednej ręce trzymać kielnię, a w drugiej miecz nosić dobyty, aby pracując

jedną ręką nad budową gmachu, drugą odbijać uderzające na nich zewsząd pociski.

Umyślnie wpierw już szczegółowo pisałem o skandalicznej prasie amerykańskiej, o dziejących się tam zgorszeniach publicznych, o nauce bezbożnej, o duchu liberalizmu i fałszywym patryotyzmie amerykańskim, o potwarzach i oszczerstwach, jakie najęci przez wrogów pismacy ciskają tam publicznie na najświętszych nawet kapłanów, abym teraz nie potrzebował już powtarzać tego wszystkiego i opisywać z kolei, w jak trudnych, w jak ciężkich warunkach duchowieństwo nasze musi tam dziś walczyć ze schizmą i otaczającem je zewsząd zepsuciem. Że pomimo tego wszystkiego kapłani polscy nie opuszczają tam rąk bynajmniej, że z nową energią biorą się do pracy, że, czując wspólnego wszystkim wroga, myślą o ogólnem porozumieniu się nad środkami działania i nad wspólną akcyą, że — jednem słowem — poczynają brać się poważnie do pracy, — to cześć, a nie ironia, uznanie, a nie lekceważenie, pomoc, a nie szykana należy im się od nas w ofierze. Poważnie raczej zastanowić się nad tem wypada, czego potrzeba, aby szlachetne te usiłowania wydały pożądany owoc i aby przyszły kongres katolicki księży polskich w Ameryce Północnej, który zapowiada się już w najbliższym sezonie letnim, nie tylko udał się pomyślniej od wszystkich innych dotychczasowych zjazdów, ale aby zaradził najważniejszym potrzebom naszym w Ameryce.

O tem właśnie wedle sił i możności powiem słów kilka w następującym rozdziale, nie żeby ważną tę kwestyę wyczerpać i do dna zgłębić, ale żeby wypowiedzieć swe zdanie w tym względzie i do tego, co inni kompetentniejsi odemnie orzekną, dorzucić także cośkolwiek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KWESTYE TEOLOGICZNE.

Czy Sakramenta żywych mogą udzielać łaskę pierwszą?

Chodzi tu głównie o Eucharystyą. Pytanie, czy ten, kto ją przyjmuje w dobrej wierze i przynajmniej z żalem niedoskonałym, otrzymuje łaskę, którą teologowie nazywają *gratiam primam*, tj. czy Eucharystya w stan łaski wprawia tego, który bez wiedzy jest w stanie grzechu śmiertelnego? Jakiż stopień pewności lub prawdopodobieństwa ma ta opinia i czy ją można uważać za moralnie pewną?

Kwestya ta zupełnie spekulatywna może mieć w praktyce bardzo poważne skutki i dla tego zastanowić się nad nią warto. Pójdźmy po radę do mistrzów nauki św. i starajmy się zrozumieć dobrze, co pisali w tym przedmiocie.

Zwracamy się najprzód do księcia teologii, wielkiego doktora św. Tomasza z Akwinu, który w tak dokładny sposób wszystkie kwestye, dotyczące natury i skutków Sakramentów, zbadał i cudownie przedstawił.

Utrum Sacramenta vivorum possint aliquando et per accidens conferre gratiam primam? Na to pytanie odpowiada Tomasz św. affirmative, i to co do Bierzmowania i Eucharystyi, a zasady, na których się opiera, mogą być zastosowane do wszystkich innych Sakramentów żywych.

Mówiąc o Bierzmowaniu tak się Doktor św. wyraża (qu. 72 art. 7 ad 2): „Si aliquis adultus in peccato existens cujus conscientiam non habet, etiam vel si non perfecte contritus accedat, dummodo non fictus accedat, per gratiam collatam in hoc Sacramento (Confirmationis) consequitur remissionem peccatorum.“ Tak więc ten, co przyjmuje Bierzmowanie z grzechem śmiertelnym, którego nie jest sobie świadom, będzie usprawiedliwiony nawet wtedy, gdyby nie miał żalu doskonałego, *dummodo non fictus accedat*, tj. jeśli nie zachowuje żadnego affektu do grzechu śmiertelnego. W taki sposób tłomaczy św. Tomasz słowo *fictus* (pars 3 qu. 69 art. 9 ad 3). W takim razie więc prosta attritio jest wystarczająca.

Nie mniej wyraźnie mówi to samo św. Tomasz w traktacie o Eucharystyi (qu. 79 art. 3). Powiedziawszy, że skutkiem bezpośrednim tego Sakramentu nie jest odpuszczenie grzechu śmiertelnego, dodaje: „Potest tamen hoc Sacramentum operari remissionem peccati dupliciter: uno modo, non perceptum actu, sed voto, sicut cum quis prius justificatur a peccato; *alio modo, etiam perceptum ab eo qui est in peccato mortali, cujus conscientiam et affectum non habet;* forte enim primo non fuit sufficienter contritus, sed devote et reverenter accedens consequetur per hoc Sacramentum gratiam charitatis, quae contritionem perficiet et remissionem peccati.“

Po tych wyrzeczeniach tak jasnych nie może być wątpliwości co do zdania św. Tomasza. Gdyby nas się pytano, jaka jest o tym przedmiocie nauka Kościoła, odpowiedzieć byśmy musieli, że Kościół nie oświadczył się w sposób stanowczy, lecz na Soborze Tryd. wyraził się w sposób, który zdaje się potwierdzać opinią Doktora anielskiego.

Sobór Tryd. zdefiniował, że Sakramenta udzielają łaskę tym, którzy jej nie przeciwstawiają żadnej przeszkody: *non ponentibus obicem*

(Sess. VII can. 6). Czyż to wyrażenie nie zdaje się oznaczać, że aby otrzymać łaskę Sakramentu, wystarcza nie stawiać aktualnie przeszkody przez złą wolą, towarzyszącą przyjęciu Sakramentu, która wyklucza nawet prostą attritio? Jeśli, w intencyi Soboru, grzech śmiertelny „cujus suscipiens Sacramentum conscientiam et affectum non habet (propter praesuppositam attritionem)“, jeżeliby, powtarzamy, ten grzech był przeszkodą dla skutku Sakramentu, zdaje się, że Sobór zamiast mówić w czasie teraźniejszym *„non ponentibus obicem“* byłby powiedział: *„iis qui non posuerunt obicem.“*

Co do autorów, którzy pisali po Soborze Tryd., przyjęli oni po największej części naukę św. Tomasza, idąc w tym względzie drogą oznaczoną, jak się zdaje, przez Kościół. Przytaczamy Suareza, jednego z teologów, który najlepiej zgłębil tę kwestyą (quaest. 62 art. IV disp. VII sect. 2). Na pytanie: *An omnia Sacramenta possint aliquando conferre gratiam primam*, przytacza najprzód opinią negatywną, następnie jednak dodaje: „Nihilominus contraria sententia et magis pia est et probabilior, quam D. Thomas ubique docet tractando de singulis Sacramentis.“ To zdanie, które mu się zdaje być więcej probabilis, dowodzi rozumowaniem, które się streszcza w tem zdaniu: Wszystkie Sakramenta mają to wspólne, że są ustanowione na to, aby udzielały łaskę, i skutek swój wywierają u wszystkich, którzy nie stawiają przeszkody; nie stawia się zaś przeszkody łasce, gdy się przyjmuje Sakrament w dobrej wierze i gdy z drugiej strony ma się przynajmniej attritio. W tym razie Sakramenta żywych, jakkolwiek to nie jest ich specyalny cel, mogą zdziałać usprawiedliwienie dając „gratiam primam.“ Gdyż „non est minoris virtutis augere gratiam quam illam infundere, neque primus gradus gratiae est excellentior quam secundus — co znaczy: nie jest trudniejszem dać łaskę jak ją pomnożyć; jeśli tedy Sakramenta żywych pomnażają łaskę uświęcającą, mogą w pewnych przynajmniej razach, ją udzielić. Tę konkluzyą potwierdza Suarez rozumowaniem następującem: „Et explicatur a simili. Nam Sacramenta per se instituta ad dandam primam gratiam, quando eam jam infusam inveniunt, augent illam, quamvis non sint per se instituta ad augendam gratiam, quando illam non inveniunt infusam, infundent illam, si aliunde obicem non invenerint.“

Mogliśmy przytoczyć jeszcze znaczną liczbę innych autorów, którzy tego samego są zdania, lecz ograniczamy się tylko na św. Alfonsie, który w tych rzeczach wielką ma powagę.

Doktór św. uczy wyraźnie doktryny, którą można nazwać tradycyonalną i którą on uważa słusznie za powszechnie przyjętą pomiędzy

teologami. Udowodniwszy swe zdanie powagą św. Tomasza i słowami Soboru Tryd., konkluduje w następujący sposób: „Ergo qui accedit ad Sacramentum virorum cum attritione, quae excludit peccati affectum tam actualem quam habitualem, jam obicem non ponit, et ideo gratiam recipit, modo habeat votum poenitentiae" (lib. VI n. 6). Autorowie nowsi w tej samej przemawiają myśli z niektóremi odmianami. Gury'emu ta opinia wydaje się plus probabilis, Aertnysowi prawie zupełnie pewną. W każdym razie choć ta kwestya, jak zauważa Benedykt XIV (de Synodo dioec. l. 7 c. 11), podlegać może dyskusyi, ma przynajmniej ten stopień prawdopodobieństwa, który graniczy z pewnością moralną.

Z tego abstrakcyjnego nieco studyum wypływają dwie praktyczne reflexye:

1. Pożyteczną bardzo jest rzeczą nakłaniać wiernych do dobrego przysposobienia się do Komunii św., mianowicie przez akty miłości Bożej i żalu; jeśliby ktokolwiek bez wiedzy odprawił spowiedź nieważną, może być usprawiedliwiony dzięki mocy uświęcającej Eucharystyi.

2. Należy się strzedz pewnych praktyk jansenistowskich, któreby mogły pozbawić nawet in articulo mortis niektóre dusze pomocy religijnej. Aby przytoczyć przykład: czy nie ma kapłanów, którzy z zasady odmawiają Wiatyku dzieciom, co jeszcze nie przyjęły pierwszej Komunii św., choć teolodzy wszyscy uczą, że jest obowiązek udzielania takim dzieciom Wiatyku „dummodo inter coelestem et profanum cibum utcunque discernere valeant?" Taka aberracya może za sobą zgubne pociągnąć następstwa ze względu na zbawienie.

O oddaleniu, jakie ma być zachowane przy tworzeniu Bractw. Gdy bractwa z tym samym tytułem i celem bywały zawięzywane, musiały dotychczas przestrzegać przepisu bulli Papieża Klemensa VIII *Quaecumque*, że jedno tylko bractwo mogło istnieć w każdem mieście lub miejscowości. Gdy chodziło o założenie takich Bractw w różnych miejscowościach i miastach, trzymano się reguły, przez Kongregacyą św. Odpustów ustanowionej, że o godzinę drogi musiały być od siebie oddalone. Chociaż wiele Bractw od dawniejszego już czasu dla szczególniejszych powodów otrzymywały dyspensę od tego przepisu, to w ogóle norma ta przestrzegana bywała.

W nowszym czasie nastąpiła w tym względzie znaczna ulga. Dekretem św. Kongregacyi Odpustów z 31 stycznia 1893 r. zniesiono

w ogóle przepis, że bractwa tego samego rodzaju godzinę drogi od siebie oddalone być muszą; ze względu na potrzeby naszych czasów dozwolono, że wystarcza na utworzenie takich bractw lub kongregacyi, gdy dwie miejscowości lub parafie są inne, choćby blisko siebie leżały. Drugi zaś przepis, że bez specyalnego indultu na każdem miejscu i choćby niewiedzieć jak w wielkiem mieście jedno tylko bractwo tego rodzaju istnieć może, pozostał.

Najnowszy dekret Kongregacyi św. Odpustów z 20 maja 1896 r. złagodził znacznie i ten przepis. Na prośbę tejże Kongregacyi Ojciec św. Leon XIII zniósł przepis Bulli Klemensa VIII (że w jednej miejscowości tylko jedno bractwo równorodne zawiązane być mogło) dla wielkich miast i Biskupom pozwolił, że w pojedyńczych przypadkach podług własnego rozumnego zapatrywania postępować sobie mogą; jednakowoż przy tego rodzaju urządzeniach ma być wedle ich zdania dostateczne albo stosunkom odpowiednie oddalenie zachowane: „Sanctitas Sua... derogando in hac parte Constitutioni Clementis VIII, quae incipit *Quaecumque*, Ordinariis benigne tribuere dignata est facultatem providendi pro eorum arbitrio et prudentia in singulis casibus, servata tamen in hujusmodi erectionibus convenienti, eorum judicio, distantia."

Natomiast tym dekretem wspomnione poprzednio pozwolenie z d. 31 stycznia 1893 bliżej objaśnione zostało, resp. ograniczone i to w następujący sposób: Równe bractwa mogą być w dwóch oddzielnych lub różnych miejscowościach utworzone, choć oba do tej samej gminy (communitas) należą; obie jednak miejscowości muszą być osobnemi parafiami. Ztąd w miejscowościach filialnych nie mogą istnieć bractwa niezawisłe od bractw miejscowości, gdzie jest kościół parafialny.

Czy katolik może dawać mięso w dni wstrzemięźliwości swym sługom protestanckim i kazać im pracować w dni świąteczne (których protestanci nie uznają).

Odpow. Większa część starszych kanonistów nie wątpiła wcale, że heretycy są poddani prawom Kościoła. Reiffenstuel tak streszcza ich naukę: „Licet haeretici de facto resistant Constitutionibus Pontificiis pro toto orbe christiano latis, nihilominus de jure istis obligantur. Ratio est, quia haeretici per baptismum ac fidem Christi receptam, jam sunt ingressi Ecclesiam, ejusque membra effecti; ergo manent obligati legibus ipsius. Et certe, si haeretici non obligarentur constitutionibus ecclesiasticis, frustra tot leges poenales in jure canonico, toto titulo

de haereticis, et aliis constitutionibus ecclesiasticis, contra haereticos latae fuissent."

Ta zasada zdaje się być niezbitą, a jeśli zastosuje się jeszcze druga zasada teologiczna nie mniej pewna, że współdziałanie przy przekroczeniu prawa któremu gwałciciel prawa jest podległy, jest grzechem mniej lub więcej ciężkim, według ciężkości zobowiązania nałożonego przez prawo, (Lehmkuhl *Theol. mor.* t. 1 n. 136 i inni) zdaje się, że w przypadku nam przedłożonym trzeba orzec, że pan domu popełnił ciężki grzech.

W każdym razie, jak zauważa Frassinetti, mówić, że Kościół ma prawo rozkazywać wszystkim chrześcianom, wliczywszy do tego i heretyków, i mówić, że rozkazuje wszystkim rzeczywiście, to są dwie rzeczy bardzo różne.

Ztąd autorowie bardzo poważni rozróżniają pomiędzy prawami, wydawanemi przez Kościół. Jeśli te prawa mają na celu przeszkadzać nadużyciom i znosić je, lub bronić porządku publicznego, to i heretyków zobowięzują; lecz nie zobowięzują, gdy dążą jedynie do uświęcenia pojedyńczych ludzi. Owóż jak De Angelis rozwija tę myśl: „Si quid in hac materia liceat opinari, nostra mens est, eos (haereticos) maxime teneri illis legibus observandis, quae ad abusus compescendos, aut ad ordinem publicum et honestam conversationem tuendam in societate christiana latae sunt, puta leges de impedimentis matrimonii praesertim dirimentibus, aliaeque; namque plus semel auctoritas ecclesiastica requisita expresse vel aequivalenter eos teneri asseruit. Si vero sermo sit de aliis legibus ecclesiasticis, quae ad sanctificationem personarum directe tendunt, eos ab Ecclesia non obligari est dicendum, cum Ecclesia perspiciat eos contumaciter restituros, et hoc nihil aliud esset, nisi peccata multiplicare" (*Praelec. jur. can.* lib. 1 tit. 2 n. 13).

O. Marc podziela zupełnie to zapatrywanie, gdyż mówi: „Saepe adsunt circumstantiae propter quas censendum est Ecclesiam nolle suis legibus haereticos obligare, eo quod earum observatio magna ipsis incommoda inferret. Atque haec Ecclesiae voluntas praesumenda est respectu illarum legum, quae directe ad sanctificationem animarum tendunt, ut sunt leges jejunii, festorum etc. In his enim Ecclesia mitius agit, ne multiplicentur peccata. — *Secus* respectu legum, quae ad compescendos abusus, et ad ordinem publicum tuendum latae sunt, v. g. circa matrimonii impedimenta. Quod enim his legibus haeretici teneantur, pluries ab ecclesiastica auctoritate, explicite vel saltem implicite declaratum est" (*Instit. moral.* t. 1 n. 198 II 2°).

Bouquillon przyjmuje zasadę, według której przypuszcza się, że

Kościół nie chce zobowięzywać heretyków, gdyż jego prawa obracałyby się na ich niekorzyść. „Recte quidem, mówi on, praesumitur Ecclesia nolle, ut suis legibus obligentur haeretici, quando obligatio esset *in destructionem non in aedificationem.*“ Lecz nie oświadcza się o zastosowaniu tej zasady. Frassineti nie rozróżnia i słowa jego stosują się do wszystkich praw. „Jakżeby można sądzić. mówi on, że Kościół, zakazując wiernym czytania książek zgubnych i błędami przeciwko wierze napełnionych, chciałby zakazywać ich czytania także samym heretykom? Przełożony rozumny nie ma nigdy zamiaru rozciągać swych praw do tych ze swych poddanych, o których wie dobrze, że gardzą jego wolą i deptać ją będą nogami... Czegoż może Kościół oczekiwać po prawach, któreby nakładał heretykom, jeśli nie przekroczeń i grzechów, bez cienia jakiejś korzyści? A jeśli tak jest, alboż nie można sądzić, że Kościół daje tylko prawa dla tych, co uznają jego powagę, tj. dla katolików i że ich tylko chce zobowięzywać do przestrzegania tych praw?“

Z pomiędzy tych trzech opinii dekreta św. Stolicy zabraniają nam przyjmować ostatnią. Jest jeden punkt, który konstytucye papiezkie i decyzye Kongregacyi rzymskiej wyjmują z pod wszelkiej wątpliwości: że prawa, stanowiące przeszkody rozrywające, zobowięzują tak samo heretyków jak i katolików. Benedykt XII wyraźnie to wypowiada co do przeszkody *disparitas cultus:* „Exorta, mówi on, haec controversia est, utrum scilicet, cum Hebraeus e secta Protestantium uxorem duxerit... initum antea matrimonium post susceptum ab Haebreo baptisma sit iterandum? Te certiorem facimus, ambos, postquam catholicae fidei nomen dederint, per baptismum alter, altera per haeresis detestationem, rursus esse matrimonii vinculo conjungendos. Nam quod antea inierant, irritum omnino fuit propter impedimentum dirimens, quod vocatur *disparitatis cultus*“ (Const. *Singulari nobis* § 1).

Nadto stawia tenże Papież tę samą zasadę względem wszystkich przeszkód w dekrecie z 4 listopada 1741 odnośnie do małżeństw zawartych w Hollandyi i Belgii. Dekretuje on tam, że małżeństwa zawarte przez heretyków pomiędzy sobą są ważne, chociaż nie przestrzegano dekretu *Tametsi*, jeżeli, dodaje Benedykt XIV, jakakolwiek inna przeszkoda nie sprzeciwia się ważności małżeństwa. „Quod attinet ad matrimonia ab haereticis inter se in locis Foederatorum Ordinum dominio subjectis celebrata, non servata forma per Tridentinum praescripta, Sanctitas sua... declaravit statuitque matrimonia in dictis Foederati Belgii provincias inter haereticos usque modo contracta, quaeque imposterum contrahentur, etiamsi forma a Tridentino praescripta non fuerit in iis celebrandis servata, dummodo aliud non obstiterit canonicum impedi-

mentum, pro validis habenda esse." Ta restrykcya: *dummodo* etc., dowodzi wyraźnie, że papieże rzymscy uważają heretyków za zobowiązanych prawami kościelnemi, stanowiącemi przeszkody małżeńskie rozrywające.

Papież Pius VII w brewe z 8 października 1803 do Arcybiskupa w Moguncyi pyta się: „Sed quid dicendum erit de illorum sententia, qui jactant haereticos Ecclesiae legibus nequaquam subjici, atque inde posse illos novo conjugii foedere copulari, si primum publicae auctoritatis judicio solutum fuerit, praepostere inferunt? Adversus illam clamant Scripturae, Concilia, traditio denique universa."

W brewem zaś do Biskupów bawarskich z dnia 28 maja 1832, Grzegorz XVI przypuszcza wyraźnie, że pierwsze małżeństwo heretyka nawróconego mogłoby być nieważne skutkiem jakiej kanonicznej przeszkody rozrywającej: „Praeterquam si priores illae nuptiae, quas haeretica pars divortio dissolutas esse autumat, irritae omnino fuissent propter aliquod, quod illis vere obstiterit, canonicum dirimens impedimentum."

Przechodząc od papiezkich konstytucyi do praktyki Kongregacyi, znajdujemy to samo zdanie. Św. Penitencyarya oświadczyła 28 marca 1834 r. Biskupowi w Grenoble, który się pytał: „Utrum matrimonia ab haereticis *inter se* inita, aut *cum catholicis* juxta solas leges civiles, seu coram ministro haeretico sine praesentia parochi catholici, *valida sint* in Galliis, et *in aliis regionibus*, ubi, uti in Galliis, protestantes ex haeretici omnes habent suos ministros, templa, seu statum legalem a gubernio probatum?" Św. Penitencyarya odpowiedziała: *Negative*, exceptis regionibus de quibus loquitur Benedictus XIV in declaratione die 4 novembris 1741, atque ad quas per successores suos illa eadem declaratio extensa est."

To samo oświadczała zawsze św. Kongregacya Officii i św. Kongregacya Soboru.

Naukę zatem nowszych teologów względem posłuszeństwa heretyków dla praw Kościoła ograniczyć trzeba w punkcie praw małżeńskich, względem innych praw nie można uważać na improbabilis naukę głoszoną w Rzymie przez profesorów Seminaryum rzymskiego, z którą zgadzają się teolodzy znaczniejsi. W kwestyach tedy nam przedłożonych nie można według tego zdania poczytywać panu za grzech, który sługom protestanckim nie każe przestrzegać praw kościelnych.

Świec dwanaście, które się zapalają na ścianach w **Uroczystość** Poświęcenia kościoła (w rocznicę), kiedy i jak długo palić się mają?

Odp. Według najnowszego dekretu św. Kongr. Obrz. z 13 grudnia 1895 ad 6—7 należy je zapalić na pierwszych Nieszporach i następnie cały dzień palić się mają.

W Oktawę Świętego, który nie ma własnych lekcyi w brewiarzu a kapłan odprawiający to officium nie posiada Octavarium, jak urządzić officium?

Odp. Lekcye biorą się ze samego Święta, a nie z Officium commune na I miejscu. Tak rozstrzygnęła św. Kongregacya Obrzędów dekretem z 13 grudnia 1895 ad 9.

DEKRETA ŚW. KONGREGACYI.

Dekret św. Kongregacyi Obrzędów, *zakazujący wieszać na ścianach kościelnych wieńców pogrzebowych.*

Valven. et Sulmonen. Reverendissimus Dominus Tobias Patroni, Episcopus Valven. et Sulmonen., timens ne, sub specie pietatis erga defunctos, sensim subrepant abusus decorem domus Dei temerantes, a Sacra Rituum Congregatione sequentis dubii solutionem humillime postulavit, nimirum:

An deceat in parietibus ecclesiae vel publici oratorii suspendere coronas mortuarias ut inibi maneant?

Et Sacra eadem Congregatio, ad relationem infrascripti Secretarii, exquisito voto Commissionis Liturgicae, omnibusque mature perpensis, rescribendum censuit: *Negative.*

Atque ita rescripsit. Die 22 maji 1896.

Caj. Card. Aloisi-Masella S. R. C. Praef.
A. Tripepi S. R. C. Secr.

Dekret św. Kongregacyi Obrzędów, *oświadczający, że nie wolno zawieszać na katafalku portretu nieboszczyka.*

Senogallien. Rector cujusdam ecclesiae parochialis intra fines dioeceseos Senogalliensis, de consensu sui Ordinarii, sequens dubium enodandum Sacrae Rituum Congregationi humillime proposuit, nimirum: An in feretro vel tumulo dum pro aliquo defuncto exequiae fiunt, tam praesente quam absente cadavere, exponi valeat ejusdem defuncti

imago; et quatenus negative, an saltem tolerari possit hujusmodi usus, ubi viget. Et Sacra eadem Congregatio, referente infrascripto Secretario, exquisita sententia Commissionis Liturgicae, reque accurate perpensa, rescribendum censuit:

Ad Dubium: *Negative* quoad primam partem; et quoad alteram: *Curandum ut eliminetur abusus.* Atque ita rescripsit. Die 30 aprilis 1896.

Caj. Card. Aloisi-Masella S. R. C. Praef.
Aloisius Tripepi S. R. C. Secr.

Dekret św. Kongregacyi Obrzędów z 9 grudnia 1895, ***dotyczący Mszy św. „in aliena ecclesia"*) znosi wszystkie przywileje zakonników.***

Quamplures regulares, ratione suae vocationis et praedicationis, quotannis per Quadragesimam totam, per menses Maji et Octobris et per alia quoque tempora Sacrum peragunt extra suas ecclesias; eaque de causa obtinuerunt ab Apostolica Sede privilegium celebrandi Missam juxta Kalendarium proprii Ordinis, quando color concordat cum colore Officii ecclesiae, in qua celebrant. Praeterea iidem Regulares habent privilegium, juxta quod concessio, illis per Apostolicam Sedem semel facta, jam amplius non debet revocata censeri, nisi de praedicta concessione fiat mentio specialis, vel saltem habeatur clausula revocatoria privilegii, etiam speciali mentione digni. Hinc quaesitum est: *Utrum Regulares, de quibus in casu, comprehendantur sub decreto Sacrorum Rituum Congregationis die 9 decembris 1895 edito?*

Sacra autem Rituum Congregatio, referente subscripto Secretario, atque auditi voto Commissionis Liturgicae, omnibus rite perpensis, respondendum censuit: *Affirmative.*

Atque ita declaravit ac rescripsit. Die 8 februarii 1896.

Caj. Card. Aloisi-Masella S. R. C. Praef.
Aloisius Tripepi S. R. C. Secret.

Dekret św. Kongregacyi Obrzędów, *dotyczący cichych Mszy rekwialnych w święta duplicia z 8 czerwca 1896.*

Kongregacya św. w dekrecie tym rozszerza znacznie pozwolenie na odprawianie prywatnych Mszy żałobnych i to w ten sposób:

1. W każdej prawnie urządzonej lub mającej być urządzonej kaplicy cmentarzowej lub grobowej mogą Msze, które tam odprawiać

---

*) Str. 131 bież. rocznika.

dozwolono, być czytane de Requie we wszystkie dni, które nie są zajęte przez Święta dupl. I vel II cl., przez niedzielę, przepisane Święto, przez uprzywilejowaną Feria, Vigilia lub Octava.

2. We wszystkich kościołach, publicznych i prywatnych kaplicach, jako też w kaplicach należących do seminaryów, kollegiów zakonnych lub pobożnych kongregacyi obojga płci, mogą Msze rekwialne prywatne — jeśli ciało zmarłego jest obecne, albo jeszcze nie pogrzebane, albo przynajmniej nie dłużej pogrzebane jak dwa dni — być odprawione w dniu śmierci, w dniu pogrzebu, albo w dniu, który pro die obitus vel depositionis uchodzi, lecz pod klauzulami i warunkami, pod któremi według rubryk i dekretów uroczysta Msza rekwialna w podobnych razach odprawiona być może.

Dekret ten po łacinie brzmi:

1. In quolibet Sacello sepulcreti rite erecto vel erigendo, Missas, quae inibi celebrari permittuntur, posse esse de Requie diebus non impeditis a festo duplici I et II cl. a Dominicis aliisque festis de praecepto servandis, nec non a feriis, vigiliis et octavis privilegiatis; item

2. in quibuslibet Ecclesiis et Oratoriis, quum publicis tum privatis et in Sacellis ad seminaria, Collegia et Religiosas vel pias utriusque sexus Communitates spectantibus, Missas privatas de Requie, praesente insepulto, vel etiam sepulto non ultra biduum cadavere, fieri posse die vel pro die obitus aut depositionis: verum sub clausulis et conditionibus, quibus juxta Rubricas et Decreta, Missa solemnis de Requie iisdem in casibus decantantur, exceptis duplicibus I cl. et festis de praecepto.

Dekret św. Kongr. Obrzędów, zezwalający odprawić kilka Mszy śpiewanych o tym samym Świętym jednego dnia i w jednym kościele.

DECRETUM

Cum per plura particularia Decreta jam alias edita S. Rituum Congregatio declaravit, in eadem ecclesia eademque die plures non posse cantari missas de eodem officio; in praesenti, ut plurium votis satisfaciat, opportunum ac propemodum necessarium judicat ulterius declarare, quemadmodum reapse declarat:

Plures missas de eodem Sancto vel Mysterio in eadem ecclesia prohibitas, illas esse, quae, praeter conventualem nunquam in Collegialibus ecclesiis omittendam, in officiatura chorali concinuntur, vel aliquam cum eadem relationem dicunt. Quapropter praefatas missas sive ad petitionem viventium, sive ex fundatione, dummodo ante vel

post absolutum chorale officium, ac sine ulla cum eo relatione concinantur, non esse vetitas.

Contrariis non obstantibus quibuscumque.

Die 30 junii 1896.

Caj. Card. Aloisi-Masella, S. R. C. Praef.
A. Tripepi, Secretarius.

Dekret św. Kongregacyi Obrzędów, *dotyczący różnych wątpliwości rubrycystycznych co do konkurencyi świąt.*

Basileen. R. D. E. Jobix Sacerdos et Moderator Kalendarii ad usum Cleri Dioeceseos Basileensis in Helvetia, de consensu sui Rmi Ordinarii, sequentia Dubia pro opportuna solutione Sacrorum Rituum Congregationi humillime proposuit, nimirum:

1. Utrum in festis SS. Petri Damiani (23 februar.) et Alphonsi M. de Ligorio (2 augusti) mutandus sit tertius versus in Hymno: *Iste Confessor.*

Resp. *Negative, juxta editionem typicam et Martyrologium romanum.*

. . . .

5. In editione typica Breviarii Romani legitur sequens Rubrica die XVI Septbr.: „Si festum SS. Cornelii et Cypriani venerit in Dominica, fit Officium de Dominica cum Commemoratione eorumdem in utrisque Vesperis et Laudibus et IX Lectione historica (ex tribus una) atque commemoratione ss. Eupheniae, Luciae, et Geminiani Mm. in I Vesperis et Laudibus, omissa Lectione.“ Porro quum in praedicto casu, ubique terrarum recolatur festum VII Dolorum B. M. V. pro Dominica III Septbris adsignatum, videtur esse corrigenda haec Rubrica in novis editionibus Breviarii. Hinc quaeritur, utrum et quomodo haec correctio fieri debeat?

Resp. *Detur Decretum in Aretina* 18 Junii 1885 ad VI.*)

6. Ex S. R. C. Decreto die 9 decembris 1895 circa celebrationem Missae in Ecclesia aliena, videtur sacerdos habens festum duplex I Cl. non posse celebrare, nisi more votivo, Missam conformem suo officio,

---

*) Dekret ten brzmi: VI Juxta rubricas nuper reformatas si dies 16 septembris, cui festum Sancti Cornelii Pap. et Cypriani Episcopi Mm sub ritu semiduplici affixum est sit dominica, officium fieri debet de Dominica. At vero si haec Dominica sit tertia septembris juxta computum civile, tunc celebrari oportet. sub ritu duplici majori, festum Septem Dolorum B. M. V., quo in casu videtur faciendum officium de Septem Doloribus cum commemoratione Dominicae et ss. Martyrum. Quaeritur an haec opinio sit falsa? R. Enuntiata sententia est recta.

quando ritus alienae ecclesiae permittit Missas *de Requie* et Votivas. Quid agendum in casu?

Resp. *Missa Officio conformis, sive de semiduplici, sive de quocumque duplici, ut in casu est festiva: proinde non est votiva, nec more votivo dicenda.*

Atque ita rescripsit. Die 14 martii 1896.

Caj. Card. Aloisi-Masella S. R. C. Praef.
Aloisius-Tripepi S. R. C. Secr.

Dekret św. Kongregacyi Obrzędów. Przywilej udzielony Biskupom.

Urbis et Orbis.

Plures Sacrorum Antistites Sanctissimo Dno Nostro Leoni Papae XIII humillimas porrexerunt preces, ut in bonum fidelium atque in dignitatis Episcopalis decus, dispositionem Decreti, die 22 augusti 1818 editi, super satisfactione praecepti de audienda missa in Episcopali sacello, relaxare dignaretur. Sacra porro Rituum Congregatio, de mandato ipsius Sanctissimi Domini Nostri, ejusmodi negotium maturo examine perpendens, audito voto Commissionis Liturgicae, ad quaestionem per infrascriptum Cardinalem eidem Sacrorum Rituum Congregationi Praefectum, in Ordinariis Comitiis subsignata die ad Vaticanum habitis, propositum, respondendum censuit:

Postulandum a Sanctissimo, ut deinceps Episcopi omnes, sive dioecesani, sive titulares, eodem privilegio condecorentur, quo fruuntur Patres Cardinales; scilicet, ut non solum ipsi in propriae habitationis Oratorio, aut super ara portatili, ubicumque degant, missam facere aliamque in sui commodum permittere valeant; sed etiam fideles omnes alterutram ex eisdem missis audientes, quoties opus fuerit, praeceptum Ecclesiae adimpleant; contrariis non obstantibus quibuscumque.

Die 19 maii 1896.

Quibus omnibus Sanctissimo Domino Nostro Leoni Papae XIII per meipsum infrascriptum Cardinalem relatis, Sanctitas Sua, sententiam Sacrae Congregationis ratam habens, enuntiatum Patrum Cardinalium privilegium ad quoscumque Episcopos cum Apostolica Sede communionem habentes extendere dignata est, die 8 junii, eodem anno.

Caj. Card. Aloisi-Masella S. R. C. Praef.
Aloisius Tripepi Secret.

1. Dekret ten nie nadaje żadnego nowego przywileju kaplicom, jakie posiadają Biskupi dyecezalni w swych pałacach. Miały one dotychczas charakter oratorii publici, w których wszyscy kapłani mogli

celebrować Msze św. i wszyscy wierni słuchać Mszy św. w niedziele i święta, aby zadosyć uczynić przykazaniu kość. Ten przywilej trwa w nieobecności Biskupa i podczas wakansu Stolicy biskupiej.

Tego przywileju nie miały kaplice prywatne biskupów tytularnych, w których tylko sam Biskup tytul. mógł celebrować i kazać odprawić drugą Mszą św. po swojej „quoniam docet ut Episcopi post Sacrum ab ipsis operatum alteri assistant, et hoc jam fere apud omnes positum in more est.“ Tylko famuli *actu necessarii*, słuchając takiej Mszy, czynili zadosyć obowiązkowi przepisanemu przez Kościół — odtąd wszyscy wierni wypełnią przykazanie kość., jeśli jednej z tych dwóch Mszy św. słuchać będą w niedziele i święta. Tak samo gdy biskupi in ara portatili w miejscu odpowiedniem, albo w kaplicach prywatnych Mszą św. w niedziele lub święta odprawią, wierni słuchający tej Mszy spełnią przykazanie kościelne.

Wiadomości literackie.

X. Dr. Antoni Kantecki. Przyczynek do dziejów Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Poznań 1896.

Choć autor i wydawca nie położył na książce swego nazwiska, nie trudno go się domyślić, zwłaszcza temu, kto zna i osoby i stosunki tak zblizka, jak my je znamy tutaj na tym szczupłym skrawku naszej dzielnicy. Obca ręka żadna nie potrafiłaby ułożyć biografii z taką iście bratnią czy braterską miłością, z taką znajomością żywota od kolebki do grobu w najdrobniejszych szczegółach, nawet podrzędnego dla szerszej publiczności znaczenia, bo aż do bardzo już poufnych zwierzeń listowych, wreszcie z taką kronikarską niemal akuratnością, wyliczającą każdy artykuł dziennikarski byłego redaktora *Kuryera poznańskiego* i każdą publikacyą filologa lub mówcy kościelnego.

Życiorys śp. X. Dr. Kanteckiego, napisany jest, rzekłbyś, sercem, które bardzo kochało, które zmarłemu wiele zawdzięcza, któreby więc drogą postać chciało piśmiennym uwiecznić pomnikiem. Bezimienność autora dziwi nas poniekąd, bo jej pobudek nie rozumiemy; wszakże skreślenie żywota takiego męża, kapłana, pracownika w każdej dziedzinie życia kościelnego, politycznego, społecznego, jakim był śp. X. Dr. A. Kantecki, nie potrzebuje być czczym panegirykiem, pochwalną mową pogrzebową, ale jest owszem zaszczytem, jest zasługą nawet, bo ukazaniem społeczeństwu wzoru godnego naśladowania. Jakbądź, wdzięczni jesteśmy biografowi, że nam odtworzył żywy a wierny obraz tego, którego sami znaliśmy, który tak liczne a piękne pozostawił po sobie ślady i charakteru swego i wszechstronnej działalności swojej. Dusza to niezawodnie podniosła, idealna; umysł oświecony i wykształcony; kapłan zacny; mówca niepośledni; literat rzutki i łatwy (przyjaciel niebo-

szczyka X. Dr. J. Lewicki krótko a prawdziwie charakteryzuje go jako „ducha na wskroś literackiego zakroju“); gorący miłośnik rzeczy ojczystych; pracownik niestrudzony i nieupadający na duchu i wśród najczarniejszego pomroku, słowem, mąż, który się i Kościołowi i narodowi dobrze zasłużył, któremu się wdzięczna pamięć należy. Przydajmy do wieńca zasług jego i ten liść, bodaj najcenniejszy, że cierpiał więzy i prześladowanie za sprawę Kościoła i narodu, co u nas już nierozdzielne. Nie on sam jeden cierpiał, bo było wielu innych jak spółpracowników tak i spółmęczenników, ale ten chrzest cierpienia on może wziął jako najmłodszy zaraz na samym progu publicznego występu. To wszystko i inne zalety, wprost cnoty, uwydatniono w książce ku zbudowaniu czytelnika nawet takiego, który nie znał osobiście tego szlachetnego kapłana. Ostatnie dni ciernistego żywota, boć od młodości *in laboribus, in periculis multis*, posępne, bolesne, choruje długo a ciężko i dogorywa w sile wieku. Ale można powiedzieć: *Vivens brevi, explevit tempora multa.*

Tłem do pięknego obrazu, i jakby ramami są wypadki kościelnej, politycznej i społecznej natury, w chronologicznym zestawione układzie, a co najważniejsza, z jednym lub drugim wyjątkiem, ukazane przedmiotowo bez stronniczych wycieczek, więc słusznie książka może się zwać „przyczynkiem do dziejów W. Księstwa Poznańskiego.“

Oddaliśmy, zdaje się nam, szczery hołd pięknej postaci wielkopolskiego kapłana (jaśniejszych gwiazd coraz mniej), więc tem swobodniej możemy zrobić jedno zastrzeżenie. Historyk powinien nie tylko podawać prawdę, nagą prawdę, choćby i najboleśniejszą, ale też nie wolno mu dla względów ubocznych, choćby i w intencyi apologetycznej, zamilczać tego, co prawdę w całości ukazuje, co mroki rozpędza, niepewności usuwa.

Śp. X. Dr. Ant. Kantecki nawet i po złożeniu redakcyi *Kuryera pozn.*, na stanowisku proboszcza w Strzelnie nie usunął się od pracy dziennikarskiej; następca jego, redaktor *Kuryera*, przyznaje sam, że i potem jeszcze pisywał artykuły do *Kuryera*. Owóż byłoby to wielce ciekawą rzeczą dowiedzieć się, jakie stanowisko zajął nieboszczyk w obec nowej polityki, zainaugurowanej artykułem, umieszczonym w *Kuryerze* pod tytułem: „*Z programu przyszłości*“, tej polityki, którą on później czynnie popierał, a która w następstwie sprowadziła takie rozczarowanie i takie rozdwojenie wewnętrzne. Możemy w całej pełni zatwierdzić sąd autora, że śp. X. Dr. A. K. „przez jedenaście lat dziennikarskiego zawodu aż do końca miał jedno i to samo przekonanie co do naszej narodowej polityki: nie oglądać się na niczyją pomoc, nie zaprzągać się do rydwanu tego lub owego mocarstwa, nie schlebiać, z poświęceniem narodowej godności temu lub owemu rządowi...“ (str. 118). Jakże więc się to stało, że śp. X. Dr. A. K. z całym taborem przeszłych prac i przekonań, przeszedł — jak się zdaje — do obozu tych, co schlebiali, co się zaprzągali sami, nie proszeni do cudzych rydwanów, a których ostatecznie jednak odepchnięto? Jest to dla nas psychologiczną zagadką, a rozwiązać ją mogliby tylko ci, co znają sprawy zakulisowe i dopomagają do rozwijania „programu przyszłości“, a zdaje się autor do nich należeć. Z lekka tylko potrącamy o te rzeczy, bo zbyt świeże jeszcze, by je obszernie, z spokojem a bezpiecznie roztrząsać; musieliśmy zaś potrącić,

by wykazać, że w życiorysie tego znakomitego męża braknie przedstawienia kilku lat ostatnich jego politycznej działalności, której autor sam za chlubną uważać nie musiał, kiedy ją pominął.

Co do książki samej, nie wątpimy, że mile będzie powitaną w kole licznych przyjaciół nieboszczyka tak duchownych jak i świeckich. My ją polecamy gorąco.

Historya Kolegium Polskiego w Rzymie. Podług źródeł rękopiśmiennych napisał X. Paweł Smolikowski C. R. W Krakowie 1896. Cena 3 Marki.

Niestrudzony autor darzy nas nowym, bardzo ciekawym przyczynkiem do historyi Zgromadzenia Zmartwychwstańców, do historyi spółczesnej naszego narodu.

Podajemy obszerniejszy rozbiór cennego dzieła.

Już w wieku XVI istniało, niestety! nie długo, polskie kolegium w Rzymie: upadło dla braku funduszów, zapisy króla Jana Kazmierza na kolegium polsko-szwedzkie gdzieś się zapodziały.

W nowszych czasach pierwszym, który pomyślał o kolegium polskiem, był Bogdan Jański. Myśl tę przekazał jakoby w spuściznie swym uczniom, którzy jednak dla słusznych przyczyn nie spieszyli się z wykonaniem tego programu. Przyszedł im w pomoc gorący przyjaciel Polski hr. Montalembert: trudności były niemałe, bo i brak, jak zwykle, funduszów, i względy dyplomatyczne, któremi się zastawiał sekretarz stanu, Kardynał Antonelli, i to, że w Polsce nikt nie czuł potrzeby kolegium w Rzymie. Tak stały rzeczy w r. 1850. Nową myśl podsunął X. Al. Jełowicki, myśl kolegium polsko-rzymskiego; wypracował notę do Ojca św. na ręce hr. Montalemberta. Kardynał Fornasi przyjął ją dobrze, ale dodał, że Papież boi się kolegium polskiego. I ta myśl się nie powiodła. Pokazało się, że „o kolegium Ojciec św. był tylko wspomniał mimochodem, Kardynał dodał, iż Ojciec św. lęka się imienia polskiego — bo ambarasujące.“ Tak jest, my, imię polskie kogoż ono i kiedy nie ambarasowało!

Bano się — czytamy w rozdziale II — imienia polskiego, trzeba więc było tymczasem, jak radził Mickiewicz, „z Polską milczeć i zupełnie Polaka pod kaptur schować.“ Ale myśli założenia kolegium polskiego nie opuszczali Zmartwychwstańcy, tem bardziej, że powoli odzyskiwali zaufanie u dworu papiezkiego. Dopiero w r. 1857 zaczęto zbierać składki na kolegium polskie; dawano, ale z grzeczności, jakoby odczepne. Mieli już wonczas 9 uczniów, między nimi Jana Koźmiana; było więc już kolegium w rzeczy, choć nie z nazwy. Opowiedziana jest następnie obszernie historya Jana Koźmiana, do którego arcybiskup miał od dawna uprzedzenie z powodu ogłoszenia w *Przeglądzie poznańskim* rozprawy X. Kaysiewicza o Soborze Remeńskim i o Soborze Paryzkim. Arcybiskup wziął to za mięszanie się do jego rządów, za wytykanie mu tak zwanej marszruty, kazał X. Al. Prusinowskiemu replikować. Redaktor *Przeglądu* jeszcze przedtem napisał, jakie jest stanowisko i posłannictwo ludzi świeckich co do spraw kościelnych: mają obowiązek pomagania, prawo poważnych przełożeń. Korzystając z tego prawa wytyka, że gorliwych katolików dotknęło wyniesienie na syndyka osoby nieodpowiedniej. W liście do X. Kaysiewicza taką znajdujemy charakterystykę

Arcybiskupa: „Nazywasz Arcybiskupa dobrodziejem waszym: w czem?..“ X. Arcyb. bardzo rad takim komplementom, ale on, co przyzwyczajony do miernych ludzi i miernych pobudek, zaraz myśli, że was ma w ręku i traci zbawienną obawę Rzymu. Już to raz na zawsze widzę, że X. Arcyb. ani was nie sprowadzi, ani ręki ochoczo do sprowadzenia was nie poda... Jakże można chwalić i wynosić jednego z najniedbalszych pasterzy, jednego z najmniej pobożnych? Takie wyraźne kłamstwo razi... Pochwała niezasłużona a podchlebstwo to jedno.“ X. Semenenko zaś, z powodu przybycia Arcyb. do Rzymu pod koniec 1854 r, tak się o nim wyraża: „Zdaje się pełen dobrych naturalnych skłonności, ale mało duchownego życia. Człowiek ze świata i z wychowaniem mało kościelnem.“ Na wyjezdnem Papież Arcybiskupa bardzo surowo upominał. Nie mniej ciekawe są szczegóły co do stosunku Arcybiskupa do J. Koźmiana, gdy ten zamyślał obrać sobie i rzeczywiście obrał stan duchowny. Przesuwają się tu z daleka postacie: X. Wojciechowskiego, X. kanonika Rychtera, X. Janiszewskiego, dla wielu z nas, którzyśmy byli spółczesnymi świadkami onych czasów, dobrze znajome i dobrze naszkicowane. X. Koźmian musiał, acz na krótko, „zawadzić“ o seminaryum Poznańskie, co, jak pisał X. Janiszewski do X. Semenenki, nie miało żadnego sensu. W końcu jednak Arcybiskup zmienił się całkiem dla X. Koźmiana i kazał go nawet Ojcu św. przedstawić jako swego następcę, gdy rząd pruski przedstawiał X. Przyłuskiego na kardynała, chcąc go się pozbyć.

W interesie kolegium jeździ po Biskupach, na Warmii, w Pelplinie, w Poznaniu, we Wrocławiu, w Wiedniu, zrazu X. Semenenko, następnie X. Kajsiewicz. Tymczasem zaskoczyły wypadki Warszawskie; zawiązek kolegium polskiego przestał istnieć z wyjściem alumnów; w roku 1862 nie było już z nich żadnego.

Na wypadki zaszłe w Warszawie 1861 r. Zmartwychwstańcy nie bez obawy spoglądali. W Rzymie ścierały się starania i zabiegi przychylne i wrogie dla Polski. W miesiącu lipcu przybył do Rzymu X. Konst. Łubieński, który na audyencyi u Ojca św. wykładał, iż Polacy bardzo się zbliżają do Moskali i są na to zrodzeni, aby się z sobą zgodzili. Inną razą mówił w Rzymie, że Polska na zawsze powinna się wyrzec myśli o swojem niepodległem istnieniu, że wyrok Opatrzności jest, aby była z Rosyą. Z tego zapisku X. Semenenki widzimy, że tak zwane dziś Stańczykostwo, myśli zawarte w *Rzeczy* St. Koźmiana, pokutujące dziś na dobre na całym obszarze ziem polskich, daleko starszej są daty.

Tymczasem ruch warszawski coraz więcej nabierał cech antykatolickich. Widział to dobrze i dobrze rozumiał X. Golian i truchlał o przyszłość. I X. Kajsiewicz począł zwolna przechylać się na sposób widzenia rzeczy X. Goliana, dostrzegał w ruchu „smród demokratyczno-towiański w odezwach, symbolach etc. tajnego klubu.“ Pod koniec roku 1861 w Rzymie sprawa polska lepiej stoi: czuwał X. Czacki, Antoś (Antonelli) z całą swoją opozycyą dołom, — bez niego się rzeczy dzieją. Rok 1862 rozpoczął się pod dobrą wróżbą, bo nominacyą na arcybiskupa X. Felińskiego, nie X. Łubieńskiego, tak wybitnego stronnika Rosyi.

X. Semenenko zawiadamiając X. Koźmiana o wszystkiem, pisze: „Papież i sekretaryat stanu są za nami zupełnie. Antonelli, Pacca, że nie wspomnę

o Berardim, są z Moskalami, to jest w ten sposób, że po ludzku rzeczy traktują, z ludzkiego stanowiska, bez wiary i myśli, że to sprawa boża — i miło im, że się Rosya do nich uśmiecha i na obiady zaprasza (bo ci prałaci wciąż na obiady do Kisielewa chodzą, co jest zgrozą w dzisiejszych okolicznościach)." O Antonellim pisze X. Semenenko w swym dzienniku w dwa lata potem z okazyi pewnej sprawy: „To wszystko pokazywałoby, że w tym człowieku w gruncie nie ma nic poważnego; ma pewien rozum i pewną bystrość w sądzie i w działaniu, ale ani zasad, ani nawet prawdziwej godności. I to taki człowiek jest na czele spraw kościelnych! Jezu najdroższy! w jakich Ty ręku!"

Wypadki teraz następują przyspieszonym krokiem. Tworzy się Centralny Komitet, rząd tak zwany narodowy; znaczna część duchowieństwa uznaje go. W Rzymie wieści o tem robią przygnębiające wrażenie. Chodziło o wstrzymanie ruchu duchowieństwa. Wtenczas to X. Kajsiewicz, korzystając z położenia swego jako kapłana polskiego, a jednak niezależnego od biskupów polskich, napisał swój *List otwarty* do księży konspirujących; ażeby nie był posądzony, iż powstając na stronnictwo skrajne, sługą jest szlachty, powiedział w drugiej części prawdę i partyi zwanej umiarkowaną, wyrzucił jej sympatye piemonckie, a brak energii i rozumu politycznego. List ten został oddrukowany w *Tygodniku katolickim* pod redakcyą X. Al. Prusinowskiego, tego samego dnia (22 stycznia), gdy wybuchło powstanie. List ten rząd rosyjski kazał oddrukować, ale obcięty, z opuszczeniem wszystkiego, co jemu było nie na rękę, w kilku urzędowych gazetach swoich. Większa część czytelników pamięta jeszcze zapewne, co za straszna powstała burza skutkiem tej publikacyi. *Tygodnik* dostał od X. Arcybiskupa napomnienie, aby nie umieszczał artykułów rozdwajających duchowieństwo. X. Kajsiewicz był spokojny, ale najwięcej bolało go to, że X. Al. Jełowicki był listowi przeciwny, chciał nawet, by go odwołano. Korespondencya między obiema, jaka się *ex re* tego *Listu* wywiązała, ciągnie się długo, a bardzo, bardzo interesująca. Ciekawych odsyłamy do książki.

Pod dniem 24 kwietnia 1864 Walery Wielogłowski w liście do X. Kajsiewicza zachęca go do nowego odezwania się do duchowieństwa. Na wstępie taki przerażający kreśli obraz spustoszenia, jakie sprowadziła kończąca się już burza: „Widzę, jak ojczyznę potrącają w grób Moskale i Polacy, i jak sobie ku jej zagładzie podały ręce: obca zemsta i nasza lekkomyślność... Spłonął nasz gmach, i spłonął w nim cały zasób staroświeckich cnót naszych religijnych i obyczajowych. Materyalnie zniszczeni, moralnie rozpasani nie prędko z tych rozbitek budę dla przyszłych pokoleń sklecimy... Bóg dopuścił okropną karę, która jakby choroba zmieniła wszelkie jej rysy, połamała i wykrzywiła członki i jątrzącemi pokryła ją wrzodami... Przytem nędza się nie żartem szerzy, i zdaje się, iż szlachta bez ratunku już zmarnieje. Chociaż była po większej części głupia, ale się majątkiem jakoś zastawiała, i ile tyle, szlachetnie go używała. Jeszcze mogłaby się ratować pracą, ale pracą szczerą i płodną, lecz czyliż zechce, kiedy w lenistwie od wieków rozmiłowana woli umrzeć za ojczyznę, jak żyć i pracować dla niej. Ukazy ciężkie, to prawda, ale są one nieodwołalne i wreszcie przecięły jednem cięciem ten gnijący wrzód pańszczyzniany, który od wieków u nas się ropił."

Pisanie do kleru już nie wystarczało; trzeba było wychować takich kapłanów; konieczność kolegium polskiego w Rzymie stawała się coraz wyraźniejsza. Następuje opis stosunku Zmartwychwstańców do księcia Czartoryskiego; te stosunki naprawiły się dopiero w r. 1867. Sprawa kolegium idzie naprzód, choć z wielkim trudem. X. Al. Jełowicki miał zebranych sto tysięcy franków na postawienie kościoła dla Polaków w Paryżu. Ojciec św. zatwierdził zamianę intencyi obrócenia tego funduszu na kolegium w Rzymie. Propagandzie polecił, by na seminaryum polskie oddała dom do niej należący po Kapucynach-missyonarzach. Propaganda robiła trudności tak, że aż Pius IX rozpłakał się i wołał: „Jakiż ja biedny, kiedy tak małej rzeczy dla Polaków zrobić nic mogę!“ X. Semenenko puszcza się w drogę do Wiednia, do Galicyi, do Księstwa, by wyrobić po parę burs dla kolegium. Przez Francyą wrócił do Rzymu. Na audyencyi dał Ojcu św. sprawę z swej podróży, zapewnił, że są pieniądze, miano już dom zakupić, gdy niespodzianie nowe powstały trudności: z Wiednia oskarżono Zmartwychwstańców jako rewolucyonistów. Jednakże w pierwszej połowie maja 1865 ustanowiona została ostatecznie komisya do seminaryum. Funduszów dostatecznych jeszcze nie było. X. Kajsiewicz jedzie do Ameryki po składki. W samemże Zgromadzeniu wyrabia się przekonanie, że najlepiej będzie, jeśli ono nie przyjmie kierownictwa, a kolegium odda się Jezuitom, na początek pod rektoratem O. Mycielskiego. Głównie tę myśl popierał X. Al. Jełowicki. Artur (Czacki) zwał go ztąd wprost Filipem z Henosu. Wreszcie przecie rektorem zamianowany został X. O. Semenenko, ale dopiero Kardynał Monaco La Valetto, protektor kolegium, postanowił jako zasadę, że kolegium oddane jest w zarząd Zgromadzeniu. W dzień 24 marca 1866 nastąpiło wniesienie się do nowego kolegium polskiego: dziwne uczucie zadowolenia i pokoju z otworzenia dzieła, które przeszło tyle kontradykcyi.

Temi słowy X. P. Semenenki, pierwszego rektora, kończy autor historyą kolegium Zmartwychwstańców. W dodatku mamy jeszcze zwięzłe, ale i tak ciekawe roczniki kolegium Polskiego; dziennik rzeczy ważniejszych aż do r. 1869.

Sprawozdanie nasze daje niewątpliwie dość zaokrąglony obraz, a choć główne tylko rzeczy streszcza, zdolne jest zająć w wysokim stopniu, do przeczytania całego dzieła pobudzić. Ile tam materyału do uwag i rozważania i nauki! Przedewszystkiem z góry nastręcza się ta prawda, jak ciężko, jakby z kamienia idzie wszelka robota boża, a jeszcze cięższej tam, gdzie Polak rękę przyłoży. Myśmy wszystkim *odium*, *genus invisum*. Nieprzyjaciół pełno dokoła, *intra et extra*, nawet w najbliższem otoczeniu Ojca chrześciaństwa. Gdyby nie dobroć Piusa IX niewyczerpana, dyplomacya byłaby wszystko popsuła. Ach, ta dyplomacya, na co się ona nie ogląda, czego ona nie pokrzyżuje! A po drugie — brak nam we wszystkiem tego, co zawsze potęgą — pieniędzy, funduszów; dla tego braku marnieją najszlachetniejsze zamysły, dzieła najpożyteczniejsze upadają. Wreszcie mamy tu zdrowe poglądy na wypadki i na osoby, ocenę ludzi, którzy się mogą za życia upajać swoją wielkością, ale o których piszą sąd surowy może, ale sprawiedliwy, bystrzejsze umysły, i ten sąd ostoi się w historyi wbrew urzędowym panegirystom.

Jakeśmy rzekli na wstępie, powtarzamy, że i ta książka to cenny przyczynek do dziejów Zgromadzenia i Polski.

X. Dr. Józef Pelczar, Prałat domowy J. Św., profesor uniwersytetu Jagiellońskiego itd. wydał **Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim**. Część I. Kaznodzieje Greccy do IX wieku, Łacińscy do XVI wieku. W Krakowie 1896. Cena 2,80 *M.*

Raz po raz dawaliśmy wyraz ubolewaniu nad faktem aż nazbyt bijącym w oczy, zaniedbania uprawy kaznodziejstwa, zepchnięcia tej bardzo ważnej gałęzi teologii w ogóle, nie mniej praktycznego nauczania ewangelii, na ostatni plan; na macosze traktowanie teoryi i praktyki homiletycznej po seminaryach; na brak pilności ze strony powołanych nauczycieli ludu; wreszcie na brak wzorów przydatnych. Uwagi nasze oczywiście niczego nie naprawiły, raczej przyniosły nam niechęć, rozżalenie i rozjątrzenie ze stron rozmaitych. *Sufficientia* czuje się zawsze obrażoną, ilekroć ktoś rzekomo niepowołany śmie się targnąć na *status qui*, spokojną wodę poruszy. Miło nam więc spotkać się ze zdaniem podobnem do naszego u osoby bardzo kompetentnej, mającej i dla stanowiska swojego i dla prac swoich niemałą powagę. X. Dr. J. Pelczar, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, pisze w przedmowie codopiero wydanej książki: *Zarys dziejów kaznodziejstwa* itd.: „Nie można zaprzeczyć, że kaznodziejstwo nie stoi u nas na takiej wyżynie, na jakiej stanąćby powinno; jedną zaś z przyczyn tego smutnego zjawiska jest dotychczasowy plan studyów teologicznych, który naukę wymowy kaznodziejskiej, tak ważną i trudną, spycha na rok ostatni i przeznacza dla niej co najwięcej cztery miesiące, tak że trzeba poprzestać na pobieżnem wyłożeniu zasad homiletycznych i krótkich ćwiczeniach praktycznych. A przecież pożyteczną, powiem, nawet konieczną jest rzeczą, aby uczniowie teologii poznali również dzieje kaznodziejstwa i celniejszych mówców kościelnych, bo właśnie ta nauka wskazuje, jakich mistrzów i w czem mają naśladować.“

W tem zaniedbaniu teoryi i praktyki główna leży przyczyna, że, jak się łagodnie wyraża szanowny autor, kaznodziejstwo u nas nie stoi na wyżynie przynależnej. My tego stanu rzeczy nie zmienimy, ale też wolno się nam zapytać, jakiem prawem można żądać od duchownego i zamiłowania do kaznodziejstwa i kazań godnych ambony katolickiej, kiedy go nie uczono ni teoryi wymowy, ni wzorów odpowiednich nie stawiono przed oczy? Kto się rodzi kaznodzieją? A wszakże i największe zdolności marnieją, gdy nie są pokierowane należycie, zasilane nauką i przykładem. Ale dosyć o tem.

X. Dr. Pelczar pragnąc choć w części ten brak zapełnić, wykłady swoje akademiczne rozszerzył i wydał pod wskazanym tytułem. „Jest to — powiada — zarys tylko, podręcznik dla alumnów“: takim chce być i jako taki czeka swej oceny.

Co do nas, możemy oświadczyć, że książka czcigodnego profesora jako zarys, jako podręcznik dla alumnów znakomicie mu się powiodła. Do tego co napisano, nie można nic dodać: wszystko tu zwięzłe, jasne, gruntowne (a to wielka zaleta), widocznie przetrawione. Charakterystyka epok kaznodziejstwa i kaznodziejów, począwszy od samegoż „Nauczyciela“, Jezusa Chrystusa, przez wszystkie wieki, i czasów Apostolskich, i złotego wieku, i upadku, i ponownego dźwigania się, i scholastyki, ścisła i prawdziwa — widocznie na własnych studyach oparta.

Książkę tę, którą zresztą wszystkie pisma kościelne nader przychylnie

powitały, z całego serca polecamy — nie tylko alumnom, ale wszystkim, którzy choć i *ex post* chcą mieć jakie takie o kaznodziejstwie katolickiem wyobrażenie. Na część d r u g ą, w której będzie ocena p o l s k i c h kaznodziejów, bardzośmy zaciekawieni: tu przedewszystkiem pokaże się i rozległość wiadomości i bystrość sądu.

Jeżelibyśmy już koniecznie chcieli zrobić jaką krytyczną uwagę, to chyba tę, że prawie mogło się było obyć bez wymienienia niektórych nazwisk pisarzy, których kazań nie posiadamy, lub już całkiem poszli w zapomnienie. Dalej, że może jednak w tym „z a r y s i e“ nie byłoby szkodziło podać jeden lub drugi cytat wzorowy głośniejszego kaznodziei. Wreszcie jesteśmy odmiennego zdania co do głębokości myśli Ojców łacińskich a greckich (str. 11); nam bo się zdaje, że g r e c c y p r z e w y ż s z a j ą łacińskich spekulatywnością, filozoficznością, że tak powiemy, czyli po prostu głębokością myśli.

Położenie i potrzeby Kościoła katol. w Stanach Zjednoczonych półn. Ameryki a w szczególności zamieszkałych tam Polaków. (Dokończenie.)

W dalszym ciągu swej pracy (w rozdz. IV) daje nam autor pogląd na „prace i zasługi katolików amerykańskich nad zachowaniem wiary swych ojców.“ Niepodobna nam w sprawozdaniu naszem iść trop w trop za autorem, choć pokusa bierze przynajmniej ważniejsze jego obserwacye streścić, gdyżby sprawozdanie nasze zbyt wielkie przybrało rozmiary, a już i tak z tej książki podajemy na innem miejscu całe rozdziały dotyczące Polaków w Ameryce. Czytelników ciekawych poznać dokładnie stosunki amerykańskie odsyłamy do książki, nie pożałują grosza i czasu.

Autor w IV rozdz. przedstawia najprzód jak trudne mieli zadanie katolicy w Ameryce, gdyż wszystko z nowa tworzyć, urządzać i zakładać od fundamentów musieli, wznosić świątynie, budować szkoły, sprowadzać i utrzymywać księży, organizować gazety; księża daleko trudniejsze mają zadanie niż w Europie, bo oprócz funkcyi czysto duchownych muszą organizować parafie, zakładać bractwa i stowarzyszenia, redagować pisma, prowadzić szkoły, urządzać czytelnie i biblioteki, zbierać i administrować fundusze, zarządzać kółkami i komitetami, godzić zwaśnionych, sądzić oskarżonych, bronić pokrzywdzonych, wspierać biednych i pamiętać o tysiącu innych rzeczy, które w Europie załatwiają zazwyczaj ludzie świeccy. Z tego trudnego zadania wywiązali się świetnie, jak to historya misyonarstwa katol. w Ameryce przedstawia, tak że dziś na oko rozwój katolicyzmu w Stanach Zjedn. pięknie i imponująco wygląda. W przeciągu jednego zaledwie wieku liczba katolików z kilkudziesięciu tysięcy podniosła się do dziesięciu milionów, kraj pokrył się siecią kościołów i klasztorów. Katolicy zamiast jednego liczą tam dziś około dziewięćdziesięciu samych biskupów, a całą armią kapłanów i zakonników. A nie są to ludzie pospolici, niektórzy z nich słyną nauką, apostolskiemi cnotami i pracami, szeroką działalnością.

Aby ten Kościół osięgnął swe zadanie i rezultaty pomyślne, potrzeba w Ameryce, wedle zdania autora, szkół pod zarządem i kierunkiem zakonników. Szkoły pod względem kierunku moralnego i opieki religijnej, jak dziś są urządzone liberalne i masońskie, najgorszy wywierają wpływ. Irlandczycy, którzy pierwsi zatknęli sztandar katolicyzmu w Ameryce i tak tro-

skliwie krzątali się około budowania kościołów, zakładania parafii, erygowania dyecezyi, wielki popełnili błąd, że nie troszczyli się o szkoły i skutkiem tego dużo Kościół stracił dusz. Niemcy poznali od razu potrzebę i główną uwagę zwrócili na szkoły i gazety katol. Jakoż pod tym względem przewyższyli oni o wiele Irlandczyków i dziś posiadają znakomite gazety, liczące po 40 tysięcy prenumeratorów, a nadto posiadają szkoły wyższe i niższe, przewyższające szkoły rządowe. Pod względem wychowania zasługa katolików niemieckich w Ameryce półn. jest pierwszorzędną, ale ztąd właśnie spotkała ich niechęć ze strony Irlandczyków. Któż nie zna sporu z przed kilku laty pomiędzy Arcyb. Irelandem a Arcyb. nowojorskim Corriganem w sprawie szkół katolickich i niezależnych w Ameryce, który o mało nie zgubił katolicyzmu w Stanach Zjedn.? Przyczyną projektowanego przez Arcyb. Irelanda skasowania szkół katol. i posyłania dzieci do szkół rządowych był znany jego szał patryotyczny i przedwczesne upojenie się wielkością połączonych w jedno ciało wszystkich narodowości katolickich w Ameryce, ale był to zamach na szkoły niemieckie. Skoro Arcyb. Ireland zaprowadził u siebie szkoły niezależne, wszyscy Biskupi irlandzcy w Ameryce zaprotestowali wprawdzie i potępili jego politykę, ale mimo to próbowano ją zastosować do całej Ameryki i użyto nawet do tego najwyższej powagi w hierarchii amerykańskiej delegata apostolskiego.

Ależ i dziś jeszcze idea Arcyb. Irelanda o jak najszybszem zamorykanizowaniu Niemców, Polaków i innych narodowości, — do czego najlepszym środkiem są właśnie bezwyznaniowe szkoły rządowe — znajduje zwolenników śród księży i biskupów amerykańskich. Najlepszym tego dowodem jest najprzód to, że Irlandczycy po macoszemu traktują szkoły obcokrajowców w Ameryce, zachowują się w obec nich jeśli nie wrogo to obojętnie; dalej fakt, że podczas gdy protestanci nawet celem zabezpieczenia swych dzieci przed niemoralnością szkół rządowych, utrzymują szkółki parafialne, Irlandczycy w Mineapolis np. wcale nie mają takowych i posyłają dzieci swoje do szkół rządowych, które jakkolwiek niemoralne i bezwyznaniowe, dobre są w ich oczach, bo zadają cios stanowczy obcym narodowościom, a przedewszystkiem Niemcom, posiadającym najlepsze szkoły katol., najwykształceńszych księży i biskupów, i najgorliwsze i najświętsze zakony.

Duch ten wygórowanego patryotyzmu ogarnął dziś najwybitniejsze nawet powagi Kościoła katol. Aby zrozumieć, jak potężną jest niechęć do obconarodowości a w szczególności do Niemców, dość powiedzieć, że z uniwersytetu waszyngtońskiego usunięto najzdolniejszych profesorów za to tylko, że nie byli Amerykaninami, albo że nie dali się opanować ideom Arcyb. Irelanda. Nie z innej też przyczyny biskupi amerykańscy opierają się dotąd tak silnie ustanowieniu biskupa polskiego w Ameryce, wiedząc, że toby im zapewniło ład i porządek po parafiach i na długo jeszcze podtrzymałoby narodowość i język polski w Stanach Zjedn. Nie widzą oni, że z narodowością zniszczyć mogą religią.

Badając następnie, „z której strony zagraża największe niebezpieczeństwo amerykańskiemu katolicyzmowi“, podnosi autor jako najgłówniejszą groźbę separacyę państwa od Kościoła. Rząd bowiem, który pod pozorem tolerancyi, żadnej nie popiera religii, jest tem samem bezbożnym, pogańskim, destruktywnym. Negatywnem i biernem zachowaniem się w obec prawd naj-

wyższych niszczy on i podkopuje wiarę w jednostkach, którym pomimowoli nasuwa się uwaga, że, jeśli rząd obchodzi się bez religii, dla czego oni bez niej obejśćby się nie mieli, tem bardziej że niektore religie a przedewszystkiem katolicka tak trudne stawia przykazania, jak nie kradnij, a mianowicie nie cudzołóż. Rząd bezwyznaniowy pomimo woli staje się rozsadnikiem liberalizmu i bezbożności, ucząc każdego, że albo tej prawdy nie ma na świecie, albo że, jeśli jest, do niczego nie zobowięzuje, skoro władza świecka — najwyższa widzialna powaga na świecie — nie uważa się za obowiązaną, aby z nią się liczyć. I dla tego zalecany tak dziś przez masonów rozdział władzy świeckiej od duchownej stanowczo prowadzi do liberalizmu, liberalizm do indyferentyzmu i bezreligijności, ta wreszcie do anarchii, buntu i rewolucyi przeciw wszelkiej władzy. Tymczasem ta teorya rozdziału państwa od Kościoła znajduje wielu zwolenników pomiędzy katolikami w Ameryce półn., ten rozdział uważają za normalny i pożądany, a nawet wprost za najlepszy stan dla Kościoła, wypływająca ztąd powszechna wolność wyznań zupełnie naturalną i zgodną z nauką Chrystusa!! Co więcej, na tej właśnie podstawie rokują Ameryce świetną przyszłość a Kościołowi rozwój i powodzenie bez granic!! Kto tak rozumie wolność, jak ją rozumieją Amerykanie, ten prędzej później stracić musi wiarę. Narażeni na gorszące zewsząd przykłady bezbożności, a karmieni przez własnych kapłanów fałszywym patryotyzmem, zaginą i umrą powoli w oceanie błędów i herezyi. Z tych też liberalnych poglądów na wolność płynie największe i najpowszechniejsze źródło apostazyi w Stanach Zjedn., jakiem są małżeństwa mięszane, na które niektórzy biskupi zezwalają bez najmniejszego skrupułu, jak gdyby ginące wskutek tego tysiące dusz nie miały dla nich żadnego znaczenia. Małżeństw tych jest tam tyle, że patrząc na nie, rzekłbyś, że w Ameryce inna panuje moralność niż w Europie, i że Kościół pod tym względem różni się zupełnie w zapatrywaniach w Rzymie i Ameryce.

Cenzury, rezerwaty, zastrzeżenia nie mają tam w praktyce znaczenia, prawo kościelne zastosowania, a najśw. obowiązki kapłanów innego nad własne sumienie nadzoru. Święcą ich czasami bez nauki, przyjmują bez papierów i kwalifikacyi, promowują bez zasług i pracy. Duchowieństwo też przejęte zasadami liberalizmu i wolnomyślności nie reaguje należycie przeciw tym źródłom zepsucia i bezbożności, tj. przeciw pogańskiej, bezwyznaniowej szkole, zepsutej i niemoralnej prasie, przeciw wyuzdanej wolności słowa, głosów i środków przy wyborach, nie rozumiejąc dostatecznie ich szkodliwości.

W dalszym rozdziale (VII) zastanawiając się autor nad tem „co może zgubić Amerykę,“ rozwodzi się nad stosunkami domowemi, rodzinnemi, społecznemi, nad żądzą złota i pieniędzy pożerającą wszystkich, nad potęgą masoneryi i z tego wróży Ameryce przeróżne wstrząśnienia stosunków społecznych, zaciekłe walki pomiędzy kapitalistami a klasą roboczą, a ztąd rozprzężenie i zgubę.

W rozdziale VIII stawia sobie autor pytanie: „czego potrzeba do rozwoju katolicyzmu w Ameryce.“ Streściwszy raz jeszcze wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie są tam wystawieni i narażeni katolicy, dochodzi do wniosku, że wpływ szerszy katolicyzmu w Ameryce jest niemożliwy, dopóki kraj ten nie ulegnie gruntownemu przeobrażeniu w konstytucyi, urządzeniach i za-

patrywaniach rządu na religią. Ażeby zaś takie radykalne zmiany zajść mogły, potrzeba prześladowania Kościoła i męczeństwa.

Różne poezye Karóla Antoniewicza. Tom II. Wydał X. Jan Badeni. Z portretem autora. Kraków 1896. Cena 2 *M.*

Samże wydawca podał bardzo słuszną i sprawiedliwą ocenę poezyi X. K. Antoniewicza z czasów przed wstąpieniem do zakonu, jak i jako zakonnika.

Stosunkowo na najniższym szczeblu w pisarsko-literackiej swej działalności stoi Antoniewicz jako poeta. Krytyk z zawodu przerzucając dwa niedawno temu wydane tomiki, które mieszczą w sobie rozrzucone dotąd po kilkunastu rękopiśmiennych i drukowanych zbiorach jego poezye, wiersze i wierszyki, sporo znajduje przeróżnych usterek, sporo materyału do różnorodnych uwag i zastrzeżeń. Zwłaszcza w młodzieńczych, świeckich utworach. forma często chropowata, a zdarza się, że i bardzo chropowata; zdarza się, że rytmu trudno się dosłuchać, a rym zawdzięcza swe istnienie jedynie silnej, z przeszkodami się nie rachującej woli poety. Lamartine, Byron, Shakespeare odzywają się i przypominają nie tylko w mottach, umieszczanych przed sonetami i piosenkami, ale i w treści, w układzie, bywa, że i w całych zwrotkach, jakby żywcem z angielskiego, z francuzkiego przełożonych. Co gorzej, w niektórych, na szczęście nie bardzo licznych wierszykach, pochodzących bez wyjątku z pierwszej, młodzieńczej doby twórczości naszego poety, z nieświetną formą łączy się arcybanalna treść; tak banalna, codzienna, że odczytując taki sonet, opowiadanie, piosenkę, ma się ochotę podpisać pod nią protest słuchaczów pana Jowialskiego: Znamy, znamy!...

Czy z tego wynika, że Antoniewicz nie czuł w sobie nigdy świętego, poetycznego ognia; że jego pieśni nie mają żadnej wartości, nie przemawiają do serc, nie poruszają wyobraźni? Najdobitniejszą odpowiedzią na te pytania, niesłychana popularność, którą od tylu lat cieszą się, zwłaszcza niektóre z jego religijnych utworów poetycznych. Dużo można formie zarzucić, o niejedną mniej udałą, szkoda, że nie przerobioną i nie poprawioną zwrotkę się posprzeczać; żałować można, że gdy miał czas rymami się bawić, brakowało mu nieraz wznioślejszych, niepowszednich tematów; gdy tematy setkami pod oczy podchodziły, brakowało czasu i chęci do ubierania je w ramy. Można się o to skarżyć, gniewać się, żałować; lecz swoją drogą niepodobna zaprzeczyć, że wiersze Antoniewicza mimo wszystkich tych wad, uderzających każdego, nawet największego profana, mają, mieć muszą w sobie ukryty jakiś talizman, który o wadach każe zapomnieć, serce otwiera i gwałtem je dla siebie zdobywa. Tym talizmanem szczerość, wykluczająca wszelki najdrobniejszy cień poetycznej pozy, miłość głęboka, rwiąca, miłość Boga i ludzi dla Boga. Piszą i głoszą poeci: „Sobie śpiewam nie ludziom"; Antoniewicz na czole swych pieśni, zwłaszcza najpiękniejszych, religijnych, mógłby z całą prawdą napisać: Bogu śpiewam, nie sobie, nie ludziom!

Nader trafne to uwagi! W zbiorku poezyi, który mamy przed sobą, a który zawiera płody Muzy z lat, zanim K. Antoniewicz wziął sukienkę św. Ignacego, wszędzie przebija poważny pogląd na świat; poeta stawia sobie co chwila pytania: Zkąd życie, co ono znaczy? dokąd zmierza? Już z tego poznać umysł głęboki, serce religijne — tęsknotę jakby wrodzoną za Dobrem najwyższem. Jest nasamprzód dwanaście utworów pod tytułem: *Listki palmowe;* wszystkie, acz niby rozmaite w układzie i formie, na jedną nawiązane nić, jedną spojone myślą o początku i celu człowieka, myśl o wieczności, myśl o zmartwychwstaniu, myśl o miłości. Wszystkie one bardzo piękne — może najpiękniejsze w całym tomie — a na szczególną wzmiankę zasługuje: pierwszy, trzeci, czwarty, dziewiąty, który pomysłem i rytmem przypomina choć zdaleka E. Wasilewskiego: *Wesoło żeglujmy!...* Idą potem Sonety, w których więcej erotyki, bardzo spokojnej i czystej. Autor brał za motto słowa wydatniejsze obcych poetów, na kanwie tych sentencyi

haftował wcale udatne a różnobarwne kwiaty — sonety. Między „Pieśniami i piosenkami“ raźnym tempem wyróżnia się piosnka kołodzieja i piosnka grabarza, które powinnyby znaleźć miejsce w zbiorku podobnych piosenek, np. w *Lutni*. Kończą: „Powieści i opowiadania“ i „Znad rzek i gór.“

Gdyby *Przegląd* był pismem więcej świeckiem, nie omieszkałby wniknąć głębiej w ducha i wykazać wartość poetycką i literacką tych skromnych, ale zawsze słodkich utworów młodzieńczego natchnienia. Poprzestajemy na tem, co się napisało. Dla przyjaciół śp. O. Karóla i ten drugi tomik poezyi będzie drogą pamiątką, dla wszystkich znajdzie się tam dużo głębszych myśli i sentencyi, wypowiedzianych poetycznym językiem. Niechże i ta książka przywołuje na pamięć postać wielkiego sługi Bożego, gorącego miłośnika ludu, żarliwego kaznodziei i szczęśliwego w niejednem natchnieniu poety. O bo to prawda, że dusza św. O. Karóla była na wskroś poetyczną, choć może nie zawsze znalazła odpowiedni wyraz dla swych uczuć podniosłych, rzewnych, zawsze delikatnych i zawsze najczystszych.

X. A. Zaremba, kanonik katedr. i prof. seminaryum w Płocku, ogłasza w *Przeglądzie katolickim* warszawskim, że się podjął stosownie do woli zmarłego X. Biskupa Nowodworskiego, jeszcze za życia jego wyrażonej, dalszego wydawnictwa **Encyklopedyi kościelnej**, któremu do dokończenia braknie kilku jeszcze tomów. Czcigodny wydawca ma nadzieję, że corok będzie mógł przynajmniej wydać jeden tom. Tyle dla wiadomości prenumeratorów naszej archidyecezyi. Interesenci mają się odnosić albo do Redakcyi *Przeglądu katolickiego*, albo do X. A. Zaremby w Płocku.

KRONIKA.

Poznań. († X. Piotr Wierzbicki. — † X. Hipolit Weichmann.)

Dnia 24 sierpnia umarł po długich cierpieniach X. Piotr Wierzbicki, proboszcz w Sulmierzycach, ur. 1846, wyśw. 1872 r., proboszczem w Sulmierzycach od r. 1886. R † I † P.

— X. Hipolit Weichmann, proboszcz w Śmiglu umarł opatrzony Sakramentami św. 30 sierpnia r. b. Zmarły urodził się w r. 1828, wyśw. 1854 r., dawniej długie lata był plebanem w Olszowie od r. 1865, od r. 1892 proboszczem w Śmiglu. R † I † P.

☛ Poszyt niniejszy jest ostatni w kwartale bieżącym. Prosimy o odnowienie przedpłaty na kwartał przyszły.

Redakcya.